

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

GOSPODARKA FINANSISTÓW WARSZAWSKICH. (SERJA IV.)

I.

W artykułach poprzednich widzieliśmy już czem jest gospodarka finansistów warszawskich w swych celach i dążeniach ogólnych. Zmonopolizować wszystek ruch pieniężny, wszystkie stosunki kredytowe i handlowo-finansowe w ogóle na korzyść pewnych klik zamkniętych, a właściwie na korzyść jednej kasty, oto nie główna przewijająca się w gospodarce tej stale, we wszystkich jej kierunkach.

Dzisiaj nie jest już tajemnicą, że jeden z najważniejszych czynników produkcji krajowej: kredyt, że co za tem idzie, i praca milionów zależną jest od kilkudziesięciu wzbogaconych po największej części na klęskach kraju i działających pod osłoną „braterstwa“ spekulantów, że oni to właściwie dzierżą ster najważniejszych ekonomicznych interesów narodu.

Jak się to stało, widzieliśmy już również, lecz widzieliśmy tylko w zarysach i konturach ogólnych. Sądzimy wszakże iż nie mniej ciekawą i interesującą rzeczą powinno być dla czytelników poznanie onej gospodarki w szczegółach. Aby jednak nie błąkać się w ogólnikach — traktować rzecz naszą będziemy już na podstawie faktów, a faktów tych, ukrywanych, dodajmy, bardzo często pod wygodnym płaszczem tolerancji, zgody, jedności, ba, nawet i patryotyzmu, nie braknie nam z pewnością.

I obecnie właśnie mamy przed sobą tylko fakta, a jakkolwiek dotyczą one instytucji, którą już poprzednie wyróżniliśmy spośród banków warszawskich, jako najmniej podległą władzy kliki starozakonnej i stojącą poniekąd na odrębnym gruncie, niemniej przecież z ogólną gospodarką cnych „podskarbach narodu“ fakta te pozostają w związku, czyli że, bądź co bądź, pod tę samą rubrykę podciągnąć je wypada.

Mówiąc jasniej, idzie nam tym razem o Kasę pożyczkową przemysłowców warszawskich, której działalność i kierunek tem żywiej nas obchodzą, że jeżeli gdzie to tutaj, pewne przynajmniej warstwy społeczeństwa, mogłyby znaleźć ucieczkę przed kredytowym terroryzmem warszawskiej kliki finansistów.

Zarówno cel z jakim Kassa przed laty 17-tu powstała, jak i żywioły które się na jej byt składają, powinnyby nadawać jej charakter odrębny i do pewnego przynajmniej stopnia zapewniać niezależność od — monopolistów. Instytucja posiadająca około pół miliona rubli kapitału własnego, udzielającą rocznie kredytu na 5 milionów rubli i liczącą

wreszcie pięć tysięcy kilkaset uczestników rekrutujących się po największej części nie spośród spekulantów ale z ludzi uczciwej, znoej pracy — instytucja, mówimy, w tych warunkach będąca mogłaby ostatecznie rozwijać działalność swoją samodzielnie, a przed oczyma mieć jeden, jedyny cel przewodni: dobro ogółu stowarzyszonych.

Mogłaby, a jednakże.. Dalecy jesteśmy od jakiegokolwiek „szykany“ instytucji, która, powtórzyć to raz jeszcze winniśmy, jest dla nas sympatyczną w gruncie; ale też dlatego właśnie, dlatego że Kassy przemysłowców nie stawiamy na jednej linii z bankami i przedsiębiorstwami finansistów żydowskich, pragnęlibyśmy bardzo aby nie schodziła ona ani na krok jeden z toru instytucji obywatelskiej, w prawdziwym tego słowa znaczeniu — instytucji mającej służyć rzetelnie i poczciwie interesom i potrzebom ogółu, nie zaś interesom danych koteryj zsolidaryzowanych wspólnością ambicji i interesów osobistych, prywatnych.

Tymczasem, przykre lecz prawdziwe, niestety, trzeba zrobić wyznanie. O ile w pierwszym swoim dziesięcioleciu Kassa cieszyła się, wśród sfer dla których przedewszystkiem powstała, sympatyą i uznaniem szczerem, opartem na przeświadczeniu o jej użyteczności, o tyle dziś opinia ta uległa znacznej zmianie.

Trzeba wyznać, iż trudno jest dziś spotkać rzemieślnika i w ogóle drobnego przemysłowca, któryby na wspomnienie o „swojej“ Kassie, nie wyrażał pewnego żalu i rozczarowania. Przykre też doprawdy jest słuchać tych głosów i opinii, jakie z ust do ust przechodząc — stają się już powszechne i wielce popularne. I gdyby Kassa przemysłowców siadła dziś „na cenzurowanem“, mogłaby, mniej więcej, usłyszeć zdania takie: Jedni powiedzieli mi żeś się pani dobrodziejka zanadto już zbliżyła i skoligaciła z bankami żydowskimi, których cele są zupełnie różne od twoich. Drudzy powiedzieli, że stałaś się pani instytucją z amknietą w sobie samej, złożoną w swym zarządzie z żywiołów takich tylko, jakich chcą twoi główni przedstawiciele. Trzeci powiedzieli, że większość twoich kierowników i reprezentantów jest związanych węzłami pokrewieństwa i stanowi jakby jedno kółko — familijne; a inni powiedzieli mi jeszcze że jesteś sobie poprostu instytucją „Zboru Ewangelickiego“.

Naturalnie, jak w grze „w cenzurowanego“ tak i tutaj niejedno z tych zdań mogłoby być podyktowane niechęcią osobistą albo złośliwością, niejedno mogłoby być przesadą; ale sam fakt że zdania i opinie takie kursują dziś szeroko, że powtarza je sobie koło złożone z pięciu z górą tysięcy uczestników Kassy, jest już bardzo niedobrym. Fakt zaś ten nabrał obecnie, nabrać musiał tem większego znaczenia, że wyłonił się już, rzeczby można, na zewnątrz, w formie wyra-

żnego i pod rozpatrzenie zarządu Kassy oddanego — pro-
testu.

Ten też fakt zniewala nas głównie do obszerniejszego
nieco pomówienia o gospodarce w Kassie przemysłowców —
zwłaszcza iż to co tam zaszło obudziło w pewnych kołach
publiczności warszawskiej, a nawet i po za warszawskiej,
dość żywe zainteresowanie.

Jak już wiadomo czytelnikom „Roli“, jeden z uczest-
ników Kassy, obywatel m. Warszawy, p. B. Korpaczewski,
zakwestyonowawszy legalność ostatnich wyborów na
„reprezentantów“, wystąpił równocześnie z szeregiem wnio-
sków dotyczących zmian, nie ustawy bynajmniej, lecz niejako
zwyczajów praktykowanych w wewnętrznym urządzeniu
instytucji. Wnioski te zaś, przedstawione na posiedzeniu
reprezentantów Kassy odbytem w dniu 21 Czerwca r. b.
były następujące:

1) Żaden członek zarządu lub komitetu reprezentan-
tów nie może urzędować w innej instytucji finansowej lub
pokrewnej na stowarzyszeniu opartej.

2) Nikt nie może być reprezentantem, kto pozostaje
w pokrewieństwie lub też wspólnictwie z jednym z członków
zarządu; również nie mogą pozostawać w pokrewieństwie
pomiędzy sobą członkowie zarządu i reprezentanci.

3) Na zgromadzeniu reprezentantów, bez prawa głosu
i udziału w uchwałach, wolno być obecnym każdemu ucze-
stnikowi o ile na to obszar lokalu pozwala.

4) Lista imienna wszystkich uczestników powinna
być wydrukowaną, i w posiadaniu każdego winna się znaj-
dować.

5) Kandydaci na reprezentantów powinni wybierać
się nie przez delegacje, ale bezpośrednio na samem posie-
dzeniu reprezentantów.

6) Żaden z reprezentantów wychodzących nie może
być wybranym ponownie, aż po upływie 5-ciu lat od czasu
ukończenia kadencji poprzedniej.

7) Głosowanie uczestników na wybór reprezentantów
winno mieć miejsce po współczesnym obiorze przez nich
urzędu obrad nad zaprojektowanymi kandydatami i pod je-
go kontrolę rezultaty głosowania oddawane być winny.

Punkt 8 i 9 dotyczą zawiadamiania o terminach ze-
brań, a dalej jeszcze mówi wnioskodawca:

10) Żaden z członków, biorących udział w zarządzie,
nie powinien przewodniczyć obradom reprezentantów, ale ci

każdorazowo wybierać mają przewodnictwo z pośród siebie
— złożone z osób bezstronnych.

11) Komisja rewizyjna wybierana być może tylko
z nie-reprezentantów i z osób nie biorących udziału w za-
rządzie.

12) Ponieważ od decyzji władz kasy nie ma już żadnej
instancji apelacyjnej, przeto dla uczestników należy zapro-
wadzić księgę zażaleń, które — po sprawdzeniu przez ko-
misję rewizyjną — rozpatrywać będą reprezentanci na po-
siedzeniach kwartalnych.

Dość jest odczytać te dwanaście punktów, aby spo-
strzedz odrazu że w nich jest coś więcej niż zwyczajne
wnioski uczestnika, pragnącego widzieć takie lub inne in-
nowacje w swojej instytucji. Jest tutaj najbardziej stanowcze
i kategoryczne votum nieufności wyrażone zaró-
wno dla zarządu jak i dla reprezentantów; jest tutaj nie-
tylko skarga na nielegalność wyborów, ale są też w ogóle
i zarzuty ciężkie, powiedzieć śmiało można, krzywdzące;
jest wreszcie streszczenie — tych wszystkich opinii, które,
jak już powyżej wspomnieliśmy, krążą coraz wyraźniej
i w coraz szerszych kołach publiczności, a na lekceważenie
których najprostszy bodaj rozsądek zgodzić się żadną miarą
nie może.

Jakże atoli zarząd Kasy postąpił sobie wobec tak
formalnego i kategorycznego wystąpienia jednego z ucze-
stników, to jest jednego z tych na których byt instytucji
właściwie się opiera? To właśnie zobaczyć nam wypadnie
w artykule następnym.

(d. c. n.)

MACIEJ

PORTRET

przez

Klemensa Junoszę.

Znała go cała wieś — i ja go znałem dobrze. Osobliwie-
go nie było w nim nic, bo i cóż mogłoby być tak szczególne-
go w chłopie — a to chłop był, najzwyczajniejszy pod
słońcem... mazurskiem.

Nosił sukmanę grubą, ujętą w pasie szerokim rzemie-
niem, czapkę baranią, wielką jak wronie gniazdo i ciężkie,
niezgrabne buciska.

Stąpił w nich jak słoń, a gdy mu się weselić i tańczyć

czywie o nim milczał. Jeżeli się nie mylimy, pochodziło to
z tego, że jak wszyscy ludzie chorujący na uczoność, tak
i p. Czarkowski był dość zarozumiałym, zwłaszcza na pun-
kie znajomości ludzi, skutkiem czego nieraz utrzymywał,
że sąd jego o nich jest zawsze sprawiedliwy. Ponieważ
Czudka, za deklamowanie klasyków bardzo niegdys lubił
i przed wszystkimi chwalił, więc teraz rozmyślnie milczał.
Zresztą wiedział aż nadto dobrze, że adwokat nie pokaże
się więcej w jego domu, na cóż więc miał dalej zajmować
się jego osobą.

Gdy p. Wybicki zaczął wychodzić, Julian przyniósł
mu bilet swego wuja, skreślony pismem bardzo nieczytel-
nem, w którym tenże prosił narzeczoną swego siostrzeńca
i jego teścia przyszłego, by, jeżeli to uznają za stosowne,
raczyli go odwiedzić. Pan Wybicki grzeczkiem przeprosze-
niem człowieka tłumaczącego się chorobą, że pierwszy nie
może mu złożyć swego uszanowania, był bardzo ujęty, a
Wandzia była tem uszczęśliwiona. Ona wszystko kochała,
co Julian ukochał — ona lgnęła już do wszystkich, którzy
mu byli bliscy krwią albo przyjaźnią.

Przy łożu chorego, węzły łączące tych czworo ludzi
jeszcze bardziej się zacieśniły. Pan Czarkowski znalazł
Wandzię przesliczną, miłą i dobrą, a jej ojciec miał według
jego twierdzenia, mimo wzrostu małego, wygląd het-
mański; oni zaś w wuju Juliana znaleźli człowieka uprzej-
mego i rozumnego, w którym nie było nic dziwaka.

PRZEZ DOLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg.)

— O! ja wiem, żeś ty pocziwy... ja o tem ani chwili
nie wątpię! Jeżeli ci się ta panna podobała, żeń się...
niech ci Bóg błogosławi. Wybicy dobra rodzina, pocziwa
rodzina, córka takiego domu będzie dobrą żoną i matką.
Niech cię nieznam Julku, jakiś ty porządny, że się chcesz
żeńić! Przy was i mnie będzie może lepiej i weselej. Niech
cię nie znam! jak mi się to podoba. Chodź, chodź, niech cię
raz jeszcze usciskam.

I ścisnął siostrzeńca jak ojciec najlepszy i był zdro-
wszym na ciele, a weselszym na duchu. Szczególny bo też
był człowiek ten p. Czarkowski. Cały świat myślał, że był
skąpym, tymczasem okazało się, że był tylko oszczędnym;
ktokolwiek bliżej go poznał, nazywał go samolubem, a tym-
czasem Juliana ukochał jak syna własego; że był prawym,
o tem nikt nie wątpił, a mimo to Julianowi ani słowem nie
wspomniał, co zaszło między nim a Czudkiem. Nawet wte-
dy, gdy siostrzeniec opowiadał niegodziwe postępowanie
adwokata z panną Wandą, wuj nie potępił go wcale i upor-

zachciało. gdy ujawszy w pół jaką przysadzistą piękność, zaśpiewał i puścił się w płasy, to podłoga w karczmie trzeszczała, drżały szyby w oknach, a szynkarz z przerażeniem spoglądał na sufit, — czy się nie zawali do licha!

Ale to już dawne dzieje.

Dzisiaj Maciej już nie żyje, a i te piękności z którymi oberka ongi wywijał, leżą na cmentarzu pod brzoźami.

Może, może znajdzie się jeszcze jaka zgarbiona wetroje, pomarszczona na gębie, niby uschła gruszką, starowina, może, powiadam, znajdzie się jeszcze jaka co siedzi na przypiecku i opowiada bajki prawnukom — ale wątpię, bo śmierć zawsze łączy po wsi i kosi a kosi; najbardziej zaś drobne działki i takie oto stare baby wybiera.

Z chłopem to jej zawsze trudniej, bo chłop mocny, a Macieja to ledwie, ledwie ze zmogła.

Łaziła też za nim. Łaziła przez długie lata, może ze dwadzieścia razy zaglądała mu w oczy, ale chłop twardy był jak krzemień, nie dawał się...

Ma się rozumieć że wreszcie go zmogła, bo silniejsza, bo jej Bóg miłosierny dał prawo nad każdym stworzeniem; ale napracowała, napracowała się dość.

Jak Maciej na świat przyszedł, będzie temu lat ośmdziesiąt może — bo i najstarsi ludzie tego nie mają w pamięci — to akurat wiosna zaczynała się z zimą mocować, mróz z deszczem wojował, a śnieg wylegiwał się po rowach i po wądołach, bo mu jeszcze słońce poradzić nie mogło.

Pewnie to musiało być przy końcu Lutego miesiąca, skoro chłopca na Macieja ochrzcili.

Jak skoro tylko Maciusia w kołysek włożyli, zaraz śmierć przy drzwiach stanęła i pilnowała go już ciągle.

Pojechali kumowie do kościoła, dziecko jak Pan Bóg przykazał ochrzcili, potem ogrzali się trochę w karczmie i powracali do domu; ale oto kuma zdrzemnęła się trochę, bo ją zimno rozebrało po kościach i dzieciak wyleciał z woza, niby wiązeczka grochowin.

Już się śmierć schylała po niego, już go chciała podnosić, ale chłopak wrzeszczał tego, druga furmanka nadjechała i wzięła go z drogi.

Później znów, jak już lato nastąpiło, matka poszła grządkę w ogrodzie pleć, tymczasem zjawił się wieprz, trącił ryjem we drzwi, wszedł do chałupy i już był napoczał Maćka, ale dzieciak mocny był, znów wrzasnął tego, matka usłyszała i nadbiegła.

Ocalał tedy Maciek, tylko mu na lewej ręce, po wieprzowych zębach, znaki na całe życie zostały.

Później chłopiec już łąził, a że dowcipny okrutnie był i miarkował że w garnku jedzenie się gotuje, więc się na komin wgramolił. Od wióra koszulina się na nim zajęła i byłby się spalił na szczęście, ale akurat znów sąsiadka przyszła soli pożyczyć i zobaczywszy co jest, konew wody na Maćka wylała i nie było mu nic, tylko przeląkł się okrutnie, tak, że później może ze dwa tygodnie do komina nie łąził.

Już ze trzy lata miał, już po wsi, po ulicy sam chodził,

Gdy się rozstawali, poprosił Wandzię i Juliana, aby się zbliżyli do jego łóżka. Młodzi ludzie, odgadując wolę chorego, padli na kolana, poczem on, złożywszy na ich głowach swoje ręce, błogosławił im gorąco, dopóki lzy słów mu nie zalały. Z dziwną w duchu błogością podnieśli się z ziemi, a stojący obok p. Wybicki, nie mogąc swych uczuć powstrzymać, padł w objęcia chorego i długa chwila ubiegła zanim się rozłączyli.

Dr. Czudek nie pokazał się więcej u swojego klienta, co nikogo nie uderzyło. Pan Czarkowski wiedział dlaczego adwokat unika jego domu, Julian przypuszczał, że tylko z nim się boi spotkać, a Wojciech był najpewniejszy, że to jego ostatnia pogróżka wypłoszyła na zawsze tę figurę cicho chodzącą, której tak nie lubił.

Doktor Ragner pozostał nadal lekarzem pana Czarkowskiego. Ani chory, który był zadowolony z jego pieczołowitości, ani też Julian, który mu zawdzięczał ocalenie pana Wybickiego, nie chciał go się pozbyć; owszem, obadwa byli dlań dobrze usposobieni, podziwiając jego takt nadzwyczajny. Mimo, że Czudek nie przychodził, doktor Ragner nigdy o nim nie wspominał, jakby już nie był między żyjącymi. Widocznie nie chciał nikogo drażnić.

Narzeczeni bywali w teatrze, na koncertach, a ilekroć pogoda sprzyjała, wychodzili z ojcem na przechadzkę. Tak piękni i młodzi ludzie musieli zwracać na siebie ogólną

uwagę; to też niejednokrotnie o uszy Wandzi obijały się słowa pochlebne:

— Prześliczna para!

Pewnego dnia, minawszy ulicę Pojezuicką, a dzisiejszą Jagiellońską, zmierzali właśnie ku Wałom, by według zwyczaju, potem przez Rynek iść ku domowi, gdy Wandzia nagle za ramię Juliana szarpnęła. Julian stanął i ze zdziwieniem spojrzął na narzeczoną.

— Co się stało? — zapytał, widząc że ona uporczywie wpatruje się w jakiś punkt na placu Ś-go Ducha.

Julian puścił wzrok tym samym śladem. Po drugiej stronie Wałów, stał jakiś mężczyzna wzrostu słusznego, ale kołnierza od paletota tak miał wysoko podniesiony, że niepodobnie było dobrze mu się przypatrzeć. Postrzegłszy że go śledzą, skinął palcem na dorożkarza który stał na rogu Wałów, wsiadł i odjechał w kierunku placu Maryackiego.

— Zdawało mi się — odpowiedziała Wandzia — że widziałam jednego z naszych dawnych znajomych... ale nie, to przywidzenie... Czy dałby ojczulek wiarę — dodała, obracając się do ojca, który według zwyczaju szedł z głową ku ziemi pochyloną — że zdawało mi się, jak gdybym widziała kogoś, co razem z nami był w Indyach.

— W Indyach? Żartujesz Wandziu.

Dobry bo to i człowieczysko był ten kowal, serce miłosierne miał, a pięść jak z żelaza.

Maciek posłuchał kowala i nie utopił się nigdy, bo choć raz, tęgim parobczakiem już będąc, przez zamarzłą rzekę przejeżdżał i lód się pod nim załamał, wydobyl się jednak na ląd o własnej mocy, i tylko go potem febra coś przez trzy kwartały trzęsła.

Zresztą już ciężkich przygód nie miał, tylko raz go fura z drzewem przygniotła i raz na czarną ospę przez sześć tygodni przeleżał.

W wojsku też był szczęśliwy, może dlatego że nie pytał nic, jak kazali walić, to walił na prawo i na lewo, gdzie trafił, na oslep. Kule latały koło niego jak osy, ale nie ukąsiła go żadna, tylko go raz piką w nogę kolnęli ale tak delikatnie, że nie trzeba było nawet nogi urzynać.

Wojowanie Maćkowe było niedługie, ale gorące, a jak się skończyło, powrócił Maciek do swojej wioski, ożenił się, dzieci dochował, no i siedział na wsi aż do śmierci. Literami biografii Macieja można bardzo króciutko opisać. Orał, bronował, siał, żął, kosił, młócił, woził snopki z pola i zboże żydom odstawiał, sosny ścinał w boru i do bindugi wywoził.

Oto wszystko. Gdyby jednak przyszło komu do głowy wyrazić te roboty w cyfrach i podsumować je razem, gdyby kto chciał obliczyć ile to on morgów wysiał?

Jedne woły starzały się, drugie rosły i znów się starzały, a on wciąż chodził za sochą, wciąż nowe skiby odwracał.

A porachujcie no, mądry ludzie, ile tysięcy mil za brną przeleciał, ile korcy nasienia w pulchną rolę wrzucił, ile snopów użął, ile się cepami namachał, ile worków zboża na swoim grzbiecie wydzwigał.

Wielkie hrabstwo ufundowaćby można z tych morgów wysianych, zbronowanych, skoszonych i wyżętych przez Macieja, — wielkie piękne hrabstwo!

A ile to on sosen w boru ściał, ile nadzwigał się ich. Lecz dajmy pokój sumowaniu i cyfrom, bo może niejednen z takich co o swej pracy dużo opowiada, zobaczywszy ów rachunek zawstydziliby się, może miałby sny przykre.

Maciej sam swojej pracy nie liczył i nigdy o niej nie mówił. Gdy słońce wstawało — i on wstawał także, zaprzęgał woły do sochy, albo szkapę do brony według tego jak mu wypadało, albo też brał do ręki sierp, siekierę, lub cepy i szedł do roboty.

W południe wypoczął, podjadł sobie i znów do wieczora robił i tak mu schodził tydzień za tygodniem, rok za rokiem i ani się obejrzał jak życie zeszło — długie pracowite.

W niedzielę, przywdział nową sukmanę i do kościoła

uwagę; to też niejednokrotnie o uszy Wandzi obijały się słowa pochlebne:

— Prześliczna para!

Pewnego dnia, minawszy ulicę Pojezuicką, a dzisiejszą Jagiellońską, zmierzali właśnie ku Wałom, by według zwyczaju, potem przez Rynek iść ku domowi, gdy Wandzia nagle za ramię Juliana szarpnęła. Julian stanął i ze zdziwieniem spojrzął na narzeczoną.

— Co się stało? — zapytał, widząc że ona uporczywie wpatruje się w jakiś punkt na placu Ś-go Ducha.

Julian puścił wzrok tym samym śladem. Po drugiej stronie Wałów, stał jakiś mężczyzna wzrostu słusznego, ale kołnierza od paletota tak miał wysoko podniesiony, że niepodobnie było dobrze mu się przypatrzeć. Postrzegłszy że go śledzą, skinął palcem na dorożkarza który stał na rogu Wałów, wsiadł i odjechał w kierunku placu Maryackiego.

— Zdawało mi się — odpowiedziała Wandzia — że widziałam jednego z naszych dawnych znajomych... ale nie, to przywidzenie... Czy dałby ojczulek wiarę — dodała, obracając się do ojca, który według zwyczaju szedł z głową ku ziemi pochyloną — że zdawało mi się, jak gdybym widziała kogoś, co razem z nami był w Indyach.

— W Indyach? Żartujesz Wandziu.

szedł — czasem po południu zabawił się z kumami, czasem podochocił sobie, ale nazajutrz znowu przy robocie był jak zwykle, jak co dzień.

Za pańszczyzny robił na dworskim, potem na swoim własnym, ale zawsze robił, choć mu się grzbiet, niegdyś prosty i równy, kablakowato zginać począł, choć włosy na głowie bieleły.

W ostatnich czasach jakoś, nieraz go dziwne znużenie napadało. Bywało, ni z tego ni z owego, ręce i nogi mu omdleją; brodę na piersiach zeprze i drzemie. Drzemie chwilę, a potem, gdy sen go minie, znów jest zdalny do roboty, jako zwykle.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Cremieux i związek żydowski powszechny.
(Alliance israelite universelle).

(Dalszy ciąg.)

„Poszedłem obejrzeć te domy z młodym farmaceutą muzułmaninem, moim sekretarzem, p. Mouin i ze słynnym fizykiem panem Janssen.

„P. Janssen, który opuścił był Paryż w balonie, ponieważ nie chciał brać przepustki pruskiej, został wyznaczony przez Akademię umiejętności do obserwowania w pobliżu Oranu zupełnego zaćmienia słońca, i uczynił mi ten zaszczyt, że przyjął gościć w pałacu rządowym.

„Znaleźliśmy w tych domach pełno natłoczonych rodzin muzułmańskich, tak że na każdą rodzinę przypadał zaledwie jeden pokój, a wszędzie obok ubóstwa panowała w domu wzorowa czystość, odznaczająca Maurów algierskich.

„Były to prawie wszystko rodziny podupadłe, i mieszkania te z miłosierdzia wynajmowano im prawie za darmo.

„Niektóre były zupełnie biedne. Widzę jeszcze dzisiaj, wychodzącą z pod schodów, które jej służyły za mieszkanie, kobietę starą, ociemniałą, zgarbioną, trzymającą w rękach papier, z wypowiedzeniem jej mieszkania.

„Poczęła mi się żalić i jęczeć przedemną.

„Powiedziałem wszystkim tym nieszczęśliwym: „Zostaniecie w swoich mieszkaniach, przyrzekam wam to“. I pozostali w nich, mimo nalegań inżynierów i administracji.

Tirman wzruszył ramionami czytając to opowiadanie. On, na miejscu p. Bouzet'a, byłby im kazał pozabierać ich burnusy.

— Bynajmniej! Chwilę nawet byłam pewną że widziałam sir Wiliama Elington.

Pan Wybicki spojrział na córkę takim okiem, jakby się lękał, czy się jej przypadkiem w głowie nie pomieszało.

— Sir Wiliam z nad Gangesu, tu nad Pełtwią? Otóż to logika!

— A przecie ojczulku i myśmy byli nad Gangesem, jesteśmy dziś nad Pełtwią — odpowiedziała Wandzia z uśmiechem.

— Otóż to logika kobieca! — szepnął ojciec do siebie, a potem głośniejszym głosem dodał: Myśmy wrócili do swojego kraju, a on anglik! Cóżby on tu robił? Gdzie logika!

— Ależ ja wiem ojczulku, że to być nie może. Przywidzenie, nic więcej.

XLI.

Dr. Czudek chodził po swoim pokoju w najgorszym humorze. Chmury były na jego czole, gorycz na ustach i w spojrzeniu, chmury wreszcie na resztkach jego włosów, których bezład świadczył o wielkiej burzy, szarpiącej umysł i wnętrzości jej właściciela. Adwokat nie pamiętał, ażali kiedy w życiu był tak zdenerwowany. Co kilka godzin uciekał się do morfiny, lecz w tym dniu i ona jakoś nie oddawała mu dobrych usług. Pragnął snu — tymczasem ledwie drzemał; szukał spokoju — tymczasem gorączka nerwowa trzęsła nim jak w febrze.

Mniejsza o to! Interesującą zawsze będzie rzeczą, nawet ze stanowiska polityki, nie tej polityki oportunistycznej, będącej samą grabieżą i prześladowaniem, ale ze stanowiska polityki wyższej, dowiedzieć się jakie wrażenie wywołał ten prosty akt słuszości. Wiadomość rozbiegła się wszędzie i zaledwie w kilka dni potem, w Sedbon, o 130 mil (francuzkich) od Algieru, p. Alexis Lambert usłyszał o powiadanie tego faktu, który urósł już do rozmiarów legendy. W chwili kapitulacji Paryża, kiedy pewne niespokojności wybuchnęły w Algierze, arabi ofiarowali się panu Bouzet stanąć w jego obronie. Co się tyczy dobrych demokratów z rady municypalnej, o tych nie trzeba dodawać, że obyczajem wszystkich dobrych demokratów stanęli po stronie żyda i bogacza przeciw urzędnikowi, który stanął po stronie ubogich.

Widzimy ztąd, jaki wpływ mogłyby wywrzeć na tę ziemię afrykańską, ma się rozumieć pod innym rządem niż dzisiejszy, który wszędzie wiedzie za sobą przekupstwo, człowiek, który nie będąc ani zręcznym politykiem ani kłutym administratorem, miałby poprostu czyste uczucia i pociąg ku dobremu.

Naturalnie trzeba by, żeby ten człowiek nie był nasiąknięty nowożytnymi przesądami o cywilizacji. Rzeczywiście rzecz godna uwagi, a nawet można to sformułować w prawo, że dążność do mordowania i ograbiania swoich bliźnich ma się w stosunku prostym do łatwości mówienia o cywilizacji i ludzkości.

Anglicy, którzy bardzo często używają wyrazu cywilizacja, dopuszczają się w Indjach okrucieństw niewypowiedzianych. Nie licząc opium, do którego kupowania zmuszają chińczyków, i kołder po żołnierzach zmarłych na cholere, które sprzedają krajowcom, wcisnęli tych nieszczęśliwych mieszkańców Indyj, tak dobrych i tak łatwych do rządzenia, w maszynę administracyjną, która, podobna do olbrzymiej tłoczni, wyciska złoto i krew z milionów istot ludzkich.

„Sumę, jaką Anglicy w przeciągu dwudziestu lat wydobyli z Indyj, — mówi dr. Lebon — obliczają na dziesięć miliardów, nie licząc pieniędzy wydawanych na utrzymanie zdobywców, z których każdy, podczas pobytu w kolonii, pobiera pensję ministeryalną lub monarszą. Pobyt tych urzędników w Indjach bywa zwykle ograniczony do lat pięciu, uchodzi bowiem za rzecz pewną, że w tym przeciągu czasu powinni zrobić świetną fortunę.

Ci wyzyskiwacze bez litości nie pozostawiają swoim ofiarom nawet garści ryżu, potrzebnego hindusowi aby z głodu nie umarł.

Mamy tutaj przygniatające świadectwo jednego z autorów angielskich p. Hyndmana. „Okropna rzecz — mówi on — prowincje południowo-zachodnie zmuszone były wywozić swoje zboże zagranicę, podczas gdy trzy kroć sto tysięcy ludzi umarło z głodu w przeciągu kilku miesięcy.“ W r. 1877 — dodaje — w samej prezydencji Madras,

Ze był w takim usposobieniu, wcale się nie dziwimy. Już trzy tygodnie upłynęły od owego dnia feralnego, kiedy to oba jego kołnierze, sukienny i moralny, zostały dość jawnie znieważone, a jeszcze nie obmyślił zemsty. Czudek nie należał do ludzi, którzy umieją przebaczać. Przebaczenie nazywał on sentymentalnością, czemś, przeciw czemu buntowało się jego sumienie adwokacko-semickie, a chociaż pozornie nie był już żydem, chętnie wyznawał przepisy mówiące o odwecie. Jeżeli mamy prawdę powiedzieć, Czudek szedł jeszcze dalej, bo podczas gdy przepisy te wypowiedają jako zasadę: „zab za zęb, oko za oko“ — on, gdyby szło o jego zęb, kazałby przeciwnikowi wyrwać za jeden, przynajmniej pięć zębów, a za jedno oko, uciąć całą głowę. O! dr. Czudek był bardzo mściwym, i jeżeli czego teraz żałował, to jedynie, że los nie pozwolił mu być w jednej osobie oskarżycielem, świadkiem, sędzią i wykonawcą wyroku. O! jakby on się wtedy zemścił!

A zemściłby się najpierw na Wandzi, że go odepchnęła i że w jej oczach został zdeptyany; potem na jej ojcu, że ma taką córkę; na Rossowskim, że mu zabrał tę, którą za swoją poczytywał i w dodatku jeszcze go znieważył; na Storchu, że Juliana o wszystkim uwiadomił, na p. Czarkowskim, że się poznał na jego wartości; na Wojciechu, że pogróżką wypędził go z sypialni chorego, nakoniec na Frani, że biegnąc za nim z wodą, a nie mogąc go dopędzić, po-

dziewięćset trzydzieści pięć tysięcy ludzi umarło z głodu, według raportów urzędowych.

Cyfrom ogłoszonym przez p. Hyndmana w przeglądzie „The Nineteenth Century”, pod tytułem „Bankructwo Indyj” nikt nie zaprzeczył. Zamiast tyle mówić o filantropii powszechnej w swoich łożach, wolni mularze angielscy byłiby dużo lepiej zrobili, gdyby się byli zajęli tą kwestją. „Fortnightly Review” ograniczył się na powiedzeniu z okazji budżetu indyjskiego: „była to dla ludów cena rządu pokojowego i regularnego”.

Doktor Lebon żartuje sobie trochę z wyrażenia: „pokojowego i regularnego”, zastosowanego do rządu, który przyprawia o śmierć głodową prawie milion ludzi w jednym roku.

To jest żargon rzekomych cywilizatorów. Ludzie 4 Września, którzy byli tak srodzy dla proletaryuszów, którym nikczemnie schlebiali wczoraj, wyperfumowani byli od stóp do głów modernizmem, przejęci nawskroś doktryną liberalną...

Jedna pociecha jednak wynika z tylu smutnych widoków. Być może, iż od Algierji rozpocznie się antisemicka kampania francuzka. Tłumione gniewy gromadzą się w sercach tych arabów tak okrutnie deptanych przez żydów. W cieniu, pocichu idzie wymiana słów, mówiących o blizkim odwecie, i gdyby „Związek antisemicki powszechny” wysłał agentów w tamte strony, nie ulega wątpliwości iż osiągnąłby rezultat.

W r. 1882 „Atlas” był orędownikiem kongresu antisemickiego, który miał się odbyć w Oranie. W Listopadzie t. r. policja zdzierała afisze pisane wielkimi czerwonymi literami, na których stało: „Wszystkie środki są dobre i powinny być użyte w celu wytepienia żydów przez europejczyków.”

W wielu miejscowościach europejczycy nie chcą wypuszczać żydów do miejsc w których się zbierają. W Oranie wykluczają zupełnie ciemniejących od uroczystości urządzonych na rzecz dobroczynności w Stycznii 1882 r. „Jesteście francuzami z imienia a nie z serca”, odpowiadają im na ich protesty przeciw temu zasłużonemu ostracyzmowi.

Wtedy mer, Abraham Nahon, zakazuje kawalkady za pośrednictwem rady municypalnej. W Tlemcenie, w Maju 1883, mer chce również narzucić europejczykom obowiązek przypuszczenia izraelitów do balu subskrypcyjnego, a w skutku tej szczególniejszej fantazyi niepozwalania ludziom tańczyć z kim się im podoba, powstają zamieszki, siłą tłumione.

Zamieszki w Lipcu 1884, w Algierze, miały wyjątkową doniosłość i były prawdziwym początkiem powstania przeciw żydom. Dzienniki paryzkie, ma się rozumieć, mówiły w sposób bardzo nieokreślony o tych scenach tak pełnych znaczenia, jak mawiają zwykle do tego narodu, który uważa się za pierwszy na świecie, a który gorzej jest poinformowany o wszystkim co się dzieje, aniżeli ostatni obywatel liwepolski lub augsburski.

słała mu kilka nie bardzo pięknych przezwisk i nie zbyt miłych życzeń. Jakie kary dla nich by wymyślił, sam jeszcze nie wiedział, ale że byłyby długie i ciężkie, zato my, znając oddawna pana adwokata, śmiało ręczyć możemy.

Chodził, z sobą rozmawiał, niekiedy stawał przy oknie, z kądem piękny był widok na plac Maryacki, na którym jak robaczki świętojańskie liczne lampy płonęły, przykładał czoło do szyby zimnej i ponuro w przestrzeń się wpatrywał, to znowu zaczynał palcami wyębniać na szybie jedną z powszechnie znanych aryek Offenbacha i aby się odurzyć, w takt tego akompaniamentu nucił sobie pod nosem.

Było już dosyć późno, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Snać gospodarz kogoś się spodziewał, bo cwałem wybiegł i sam drzwi otworzył. Służący wyszedł był do miasta. Nowoprzybyłym był dr. Ragner.

Po pierwszych słowach powitania, nie odznaczających się ani zbytnią grzecznością, ani serdecznością, lekarz wszedł do pokoju sypialnego, usiadł obok kominka, na którym spory ogień płonął, zapalił sobie cygaro, wypuścił kilka kłębów dymu szarego, a rozparłszy się wygodnie w miękkim fotelu i założywszy nogę na nogę, spojrzął na gospodarza.

— Coś mi źle wyglądasz — przemówił po niemiecku.

— Jestem chory jak jeszcze nigdy — odpowiedział Czudek tym samym językiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przestraszony trzechniowami zaburzeniami i napadem na domy żydowskie, konsystorz, z mniejszą niż zwykle arrogancją, zaprzeczył energicznie obelgom miotanym przez izraelitów na Francję.

„Francuzi są tchórze; kapitulowali w r. 1870”. Takie są wyrazy, według dziennika „Petit Colon”, przychylnego semitom, które przywiodły ludność do wściekłości, a wściekłość tę łatwo wytłumaczyć. Niepodobna zrozumieć monomanii żydów, którzy nie byli francuzami w r. 1870 a wyrzucają nam nasze nieszcześcia w wojnie pruskiej. Zaznaczyliśmy już tę bezczelność z okazji oficerów zwanych „kapitulowanymi” (capitulés); odnajdujemy ją znów w dziennikach paryzkich radykalnych, redagowanych przez żydów, w których synowie niemców i francuzów naturalizowanych najgwałtowniej lżą naszych generałów zwyciężonych.

W Czerwcu 1885 ponawiają się te same sceny. Zamykają stu pięćdziesięciu manifestantów w krytej targowicy na placu de la Lyre, ale wobec protestacyi ludności zmuszeni są wypuścić ich na wolność.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MOZAJKA

LITERACKO-ARTYSTYCZNA.

Z powodu dwudziesto-pięć-letniej rocznicy zgonu Ludwika Kondratowicza. — Nieco o sztukach pięknych i o teatrze. — „Szkice” Adama Szymańskiego. — Poezye Maryi Konopnickiej. — Nowy volapük.

(Dokończenie).

Teatr nasz, który zwykle, jak wszystkie zresztą teatry, lubi się zdrzemnąć podczas lata, tego roku ruszał się dość żwawo. Nie była to wprawdzie działalność owocna, ale zawsze ruch był. Przesunął się przez obie sceny, teatru letniego i nowego, cały tłum debutantów a mianowicie debutantek, ale z pomiędzy nich nie wybiła się na wierzch żadna zdolność wyjątkowa. Zdaje się jak gdyby ród wielkich artystów wygasł zupełnie, a miejsce jego, jak zresztą we wszystkich sferach działalności ducha ludzkiego, zajęła mierność, która bywa podobno złotą, ale nie w zakresie sztuki. Najlepszym nabytkiem, jaki z tych licznych prób przypadł w udziale scenie naszej, jest panna Barszczewicz, artystka młoda, myśląca, inteligentna i posiadająca wszystkie warunki, mogące jej zjednać przychylną publiczność.

Jak na sezon letni, dość też mieliśmy na scenach nowości, ale i z tych, na dłuższy czas utrzymały się i utrzymają na repertuarze tylko: farsa „Z przyjemnością”, przerobiona z niemieckiego przez p. Sliwińskiego dla sceny teatru nowego, i „Pojedynek u Ninon”, jednoaktówka naśladowana z francuzkiego przez bezimiennego. Pierwsza, lubo nieco grubymi efektami komicznymi, wywołuje dużo śmiechu serdecznego, a więcej też od farsy wymagać nie można. Uśmieć się serdecznie, jakaż to dziś rzecz rzadka a cenna!.. Druga jest fraszką w całym tego słowa znaczeniu wytworną, która musi się podobać publiczności mającej pretensję do inteligencji i wykształconego smaku.

Nie możemy też pominąć operetki „Mikado”, której zarówno oryginalny talent kompozytora angielskiego, jak wyjątkowo staranna a nawet bogata wystawa oraz wyborne jej przez artystów teatru Nowego wykonanie, jedną nie- zwykłe u nas powodzenie.

Z widoków na przyszłość, gdybyśmy się nie lękali być niedyskretnymi, wspomnielibyśmy o pewnej piszącej się dopiero... sztuce, osnutej na tle życia greckiego z czasów najświetniejszej epoki dziejów ateńskich, o której zarówno znany talent dramatyczny pisarza, jak poważne studia jakie do tego utworu przedsiębrał, każą wróżyć, iż będzie najważniejszym zimowego sezonu teatralnego „wypadkiem”.

Nieupoważnieni, nie ważmy się szerzej rozchyłać zasłony, okrywającej pracę będącą dopiero w poczęciu.

Najciekawszem, ale w dobrem tego wyrazu znaczeniu, zjawiskiem na polu piśmiennictwa naszego są „Szkice” Adama Szymańskiego. „Srul z Lubartowa”, „Pan Jędrzej Krawczykowski”, „Maciej Mazur”, „Stolarz Kowalski” i „Przewoźnik”, oto szereg objętych tomikiem pierwszym pięciu typów ludzi z najrozmaitszych warstw społecznych, między którymi nic łącząca stanowi jedynie jednakie położenie wobec jednakich, wyjątkowych okoliczności. Prostota jest największą, celną tych opowiadań zaletą; przeciętnemu czytelnikowi, niewtajemniczonemu w warunki artystycznego tworzenia, zdaje się, że autor był pro prostu stenografem tego co przy nim mówiono, i ani mu przez głowę przejdzie, ile w tej prostocie wysokiego artyzmu. Obok tego, dziwna

rzewność, płynąca i z przedmiotu i z piersi autora, opromienia te opowieści, pełne zresztą zacnych uczuć, których punkt kulminacyjny znajdujemy w „Przewoźniku“, opowiadaniu nieskończonym. Końca tej opowieści, równie jak wogóle dalszego ciągu szkiców oczekujemy niecierpliwie, aby lepiej zbadać barwę pesymizmu, z którego, lubo mu się nie dziwimy, uczynilibyśmy jedyny zarzut treści tomiku pierwszego, tak jak dość często trafiające się grzechy przeciw językowi musimy zarzucić szacie jego zewnętrznej.

Niema zato żadnej przygany, pod względem zewnętrznej sukienki, „Poezyom“ p. Maryi Konopnickiej, których serya trzecia leży przed nami. Zaprawdę, gdyby forma sama starczyła za poezję, mielibyśmy w poetce naszej co najmniej Homera nowoczesnego; szkoda tylko, że nadwyzczaj snać czuła na muzyczne wrażenia, poetka sama tak się upaja czasami własnych wierszów harmonią, że zapomina o włożeniu w nie jakiegokolwiek myśli lub sensu. Ładne to, bardzo ładne, tylko tego zrozumieć nie można. Ta trudność zrozumienia jest jedną z cech wierszy p. Konopnickiej. Pani Konopnicka, jak wiadomo, jest jednym z filarów naszego pozytywizmu, co nie przeszkadza jej czasami przeklinać tych co żyją „bez czci ideału“; jest pesymistką, to widać z jej poezji na każdym kroku, ma pretensje do wszystkich i do wszystkiego, — zgoda, tylko nie wiadomo o co i coby ją ostatecznie zadowoliło.

Najwięcej pretensyj pani Konopnickiej zwraca się ku Bogu, z którym poetka-„bezwynauowica“ obchodzi się naturalnie po swojemu. Bardzo często przemawia do Stwórcy, daje pewne nauki, wie o wszystkich Jego „zatrudnieniach“, a między temi o wielu takich, o których dotąd nie mieliśmy pojęcia. Wśród tych „zajęć“, spotykamy naprzykład kładzenie dłoni na czoło pani Konopnickiej, celem ochłodzenia jej skroni, spuszczenie nocy z łańcucha, przejmowanie kwiatów dreszczem, który je pochyla ku sobie. Przy takiej poufałości o porozumienie powinno być łatwo; tymczasem ani rusz — pani Konopnicka wciąż jest niezadowolona.

Pani K., jak wiadomo, boleje też niezmiernie nad dolą chłopską, i gorzko obwinia o nią swoje społeczeństwo; w tej jednak materii tym razem wypowiedziała swój postulat:

..... Jedno przecie
Każdy z nas zrobić powinien, więc może,
Może za rękę wziąć chłopskie to dziecko,
Co stoi przed nim w służalczej pokorze,
I poprowadzić je na ciche pola,
Gdy ranek bije smugami złotymi,
I ciepłym słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła mu dola;
O jutrze, które wyorać nam trzeba,
Łzami i potem skrapiające te łany,
Gdzie każdy kłosek na przyszły kęs chleba
W wspólnej nadziei ma być zasiewany,
Bo tylko takiej przyszłości nasiona
Wzjedną i chwast ich złośliwy nie załmi,
A potem w syna swojego ramiona
Popchnąć to dziecko i rzec: Wyście braćmi.

Bardzo to ładnie, tylko pytanie, czy pani K. próbowała sama wyprowadzać chłopskie dzieci na te ciche pola i prawić im te ładne rzeczy? Wątpimy mocno, gdyby bowiem coś podobnego chciała praktykować, napotkałaby z pewnością na trudności, na które się, pisząc wiersze przy biurku, nie napotyka; zresztą wzmianka o „służalczej pokorze“ naprowadza nas na przekonanie, że pani K. nie tylko nie brała chłopskich dzieci za ręce, ale ich nigdy chyba nie widziała. Ztąd też i wątpliwość, czy popychała kiedy te dzieci „w syna swojego ramiona“, jeżeli w ogólności pani K. ma syna.

Gdzie pani K. zapomni na chwilę o swoich osobistych pretensjach i albo maluje naturę, albo staje się tłumaczką rzeczywistych, ogólnych uczuć swojego społeczeństwa, tam talent jej jaśnieje w całej pełni. Oprócz innych, pomniejszych, wymieniamy tutaj z tej seryi trzeciej poemat „Do granicy“, pełen uczucia i straszliwej grozy, choć wieje z niego mocno... duch „Ojca zadumionych“. Przekłady są bardzo ładne, co zresztą jest bardzo naturalne u poetki tak władającej formą, ale nie pojmujemy doprawdy, co mogło zachęcić panią K. do przekładu nowelli Heysego w trzech pieśniach, p. t. „Dziecię Wieszczeń“.

Obłęd powszechno-językowy niestety nie ustaje; owszem, na tem sztucznym pościelisku, coraz nowe grzyby wyrastają. Mamy przed sobą w Warszawie wydaną broszurkę, obejmującą zasady nowego języka powszechnego,

nie mającego nic wspólnego z volapükkiem; a ponieważ wszelkie epidemie szerzą się z przerażającą czasem szybkością, więc jutro będziemy mieli niezawodnie trzeci, pojutrze czwarty i tak dalej język powszechny. Ten, który wyszedł z fabryki warszawskiej, składa się z poobtrącanych najrozmaiciej wyrazów łacińskich, francuzkich, niemieckich i włoskich, którym językotwórca, jakiś niby doktor Esperanto, nadaje najdziwniejsze końcówki na zasadzie skonypowanej przez siebie gramatyki.

Wyborny jest ten dr. Esperanto, który w przedmowie swojej tak między innymi mówi: „gdyby istniał język międzynarodowy, wszystkich tłumaczeń dokonywanoby wyłącznie na ten ostatni, jako na język powszechny, dla wszystkich zrozumiały, a dzieła, mające same przez się cechy międzynarodowe, pisanoby oryginalnie w tym języku.“ Brań! prosimy sobie wyobrazić „Pana Tadeusza“ Mickiewicza, „W Szwajcaryi“ Słowackiego, albo dumki Bohdanowe przełożone na język, w którym np. początek Modlitwy Pańskiej tak wygląda: „Pat,r,o n,i,a, kiu est,as en la ciel,o, sankt,a est,u Vi,a nom,o, ven,u reg,ec,o Vi,a, est,u vol,o Vi,a, kiel en la ciel,o, tiel ankaŭ sur la ter,o“ i t. d.

Wyrazem niepojętej pewności siebie, a zarazem najwyższych drwin ze zdrowego rozumu ludzkiego są dołączone do broszury blankiety, z napisem w języku d-ra Esperanto i z propozycją podpisania i wypełnienia jednego z tych blankietów. Treść napisu, przełożona na język ludzki, brzmi: „Ja niżej podpisany obiecuję nauczyć się proponowanego przez D-ra Esperanto języka międzynarodowego, jeżeli się okaże, że dziesięć milionów ludzi uczyniło publicznie takąż obietnicę.“

Śmieszne to, ale takie podchwytliwe, że gdyby nie hiszpańskie czy włoskie nazwisko Doktora, moglibyśmy przypuścić że to sztuka żydowska.

Item.

NA POSTERUNKU.

Znakomici... złodzieje i telegramy „własne“ o ich bohaterstwach. — Filemon Zalewski. — Czy nam zamalo Filomenów warszawskich? — Humanus i jego rozmowy ze złodziejami. — Rezultaty polityki wielkiej w dziennikarstwie warszawskim. — „Gazeta Warszawska“ i „niebezpieczeństwo“ grożące ks. Bismarkowi. — Straszliwy taranista z „Głosu“ i jego wiaty za pomyślność chłopską. — Nowy sposób uspołeczniania żydów, wynaleziony przez proroka z „Prawdy“. — Coby był mogło gdyby nam zbrakło żydów bezwyznaniowych — P. Peretz i jego repliki w Łodzerce. — Strata „mojżeszowego polaka“. — Zapłacicież asymilatorowie!

Potwarcą byłby ten, ktoby śmiał utrzymywać że dziennikarstwo nasze nie umie zająć społeczeństwa sprawami „żywotnymi“, a zwłaszcza że nie umie stawiać mu przed oczyma bohaterów i ludzi wyższej miary. Wszak świeży mamy tego przykład. Ukradł jakiś złodziej, w Wiedniu, sto tysięcy guldenów, i oto od kilku już miesięcy dzienniki nasze podają o tej znakomitości olbrzymie „telegramy własne“. Zbiera się sąd nad tym samym złodziejem, a nasze Kuryery prześcigają się w podawaniu sprawozdań z rozpraw sądowych. Rzucasz okiem na szpalty tych szacownych organów i czytasz ciągle: „Filemon Zalewski“, „Proces Zalewskiego“, „Słynna kradzież wiedeńska“! etc. Słuszność wszakże nakazuje mi przyznać, że w tej gonitwie za efektem, jaki bije od ludzi „niepospolitych“ w okradaniu swych bliźnich, palmę pierwszeństwa dźrzy śmiało i krzepko dzisiejszy „Kuryer Warszawski“. Nie wiem czy uważa on że nasze „Filemonów“ warszawskich, naszych Kierszów, Rembertowskich, Grąbczewskich mamy jeszcze za mało, czy też inne jakies ku temu skłaniają go względy, dość że nie tylko „Filemonowi“ wiedeńskiemu poświęca od dni kilku całusienkie szpalty, ale i jego feljetonista, ów zabawny Humanusik... w spódnicze nie rozmawia w swych kronikach już z nikim, jeno ze... złodziejami.

Ha... kto wie, może i w tym najnowszym zwrocie Kuryerów w tkwi jakaś myśl głęboka, niedostępna dla oka śmiertelników zwyczajnych, bo że z kierunków i idei przewodnich naszej prasy rodzą się rzeczy wielkie, o tem, ja przynajmniej, ani myślę już wątpić. Nieraz naprzykład, czytając starowinkę „Warszawską“, myślałem sobie w duchu: mój Boże! ileżby to dla kraju spłynąć mogło pożytku, gdyby te pióra zdolne, zamiast do zagważdzania mózgow polityką wielką, użyte raczej były do traktowania żywych, miejscowych spraw społeczeństwa własnego! Sto lat onego zagważdzania a sto lat kierowania umysłów do pracy, czujności i t. d. u siebie, — jakąż szalona mogłaby być w rezultatach różnica! Profan! — wyznaję to że zwykłą mi szczytą — ani przypuszczałem jak błędne i niewłaściwe

były moje westchnienia. „Gazeta Warszawska“ nie przychyliła się wprawdzie, nie dała inicjatywy do założenia choćby jednej jakiejś instytucji z charakterem polskim, z charakterem obronnym przeciw żydkom, niemiaszkom, ale zato, jak informuje swych czytelników jedno z pism tygodniowych, złąkł jej się książę Bismark, uznawszy pocziwą starowinkę naszą za „niebezpiecznego (tak!) nieprzyjaciela“! Ludziska łamali sobie głowy nad pytaniem: co sobie też książę kanclerz mógł upatrzeć do jednego z najbardziej potulnych i spokojnych pism polskich, zabroniwszy mu wstępu w granice państwa niemieckiego, a tymczasem, jak wyjaśnia ów jeden z tygodników, stało się to dla bardzo prostej racji. „Gazeta“ — mówi on — „robiąc sekcyje na tajemniczym kanclerzu, mogła mu się niepodać więcej, niż setki karykatur, dowcipów“ i t. d.

Bądźmy więc dumni z prowadzenia w dziennikarstwie warszawskim polityki wielkiej i, nie dbając o jakieś tam drobiazgi wewnętrzne, złożmy je ze spokojnem sumieniem w godne ręce „Prawd“, „Głosów“, „Przeglądów Tygodniowych“, lub wreszcie różnych Jojnów od „Izraelity“.

Co do mnie, ile razy zajrzę, bodajby przez ciekawość, do obozu cnych przedstawicieli warszawskiego liberalizmu, widzę tam tyle taranów gotowych do „roztrzaskiwania ciasnych łbów zacofańców“, iż nie dziwi się wcale, że nasi „konserwatywni stróżowie ideałów ojczyźstych“ wołają „robić sekcyje nad tajemniczym kanclerzem“, niż narażać się na jedno choćby uderzenie takiego, dajmy na to, p. Nieborskiego z „Głosu“. Bo też doprawdy, straszny to taranista! Jako człowiek, pan Nieborski nie zabił dotąd, o ile mi wiadomo, nikogo, ograniczywszy się na poturbowaniu jedynie taranem mniej... szkodliwym jednego z swych przyjaciół i kolegów z „Prawdy“; lecz zato jako pisarz z obozu postępowców, ilekroć machnie piórem, tyle trupów leży. Machnął też w ostatnim numerze organu od „podporządkowywania“ p. Buckiewicza, za jego artykuł „Z bytu włościan“, pomieszczony — o nieszczęsna godzinol — w zacofanej „Roli“ i już z pana B. — dymu ani popiołu.

„Nikczemność“, „nikczemności“, „nikczemności“ i t. d. odmienia pan Nieborski przez liczby i przypadki ten możliwie umiarkowany w ustach wszelakiego postępowca epitet, i z jakiej mianowicie racji? Ano, racja jest, o, jest! Alboż pan Buckiewicz napisał w artykule swoim nieprawdę? Nie, a przynajmniej tego mu wcale p. Nieborski nie dowiódł; taranem swoim nie zdruzgotał ani jednego z przywiedzionych tam faktów. Pan Buckiewicz skreślił tylko sylwetkę chłopską różniącą się od tych jakie nam dają panowie „postępowcy“, a to dla nich, dla rzeczników „wolności myśli“ i „swobody przekonań“ wystarcza najzupełniej aby swojego przeciwnika obrzucić błotem, zaczerpniętem z kałuży rzekomego demokratyzmu.

Jesteś człowieku fanatykiem, wstecznikiem, zacofańcem — więc ja, nie-fanatyk, obrońca „opinij niezależnych“, skazuję cię na stos! Alboż to nie dość przekonywająca logika pozytywna?

Zarty na bok jednakże, albowiem bierze mnie tym razem pokusa przesłać, pod adresem jednego z najzapamiętalszych rzeczników „interesów ludowych“, zapytanie poważne: Nikt może tyle nie rzucił obelg „Roli“ ile ich wypluł p. Nieborski, a mimo to nie mogę mu nie przyznać, iż należy on do tej nielicznej — niesłychanie nielicznej — garstki postępowców wierzących w to co piszą. Nie jest on handlarzem t. z. „postępu“, ale ofiarą jego fanatyzmu. Wierzy pan Nieborski, iż wtedy tylko ludzkość byłaby naprawdę szczęśliwą, gdyby on ją urządził, więc dostaje spazmów gdy ktoś temu przeczy, więc lży i nazywa głupcem, nieukiem, nikczemnikiem każdego kto mu powie: „pan dobrodziej się myli“. Wierzy też p. Nieborski w chłopca. W jego „siłę odporną“, i za tę wiarę dałby się — usiec. Jako tedy takiego postępowca, nie kupca i spekulanta zimnego, ale... fanatyka wierzącego w swój obłąd, śmiem spytać pana Nieborskiego, przez kogo mianowicie, w chwili obecnej i w obecnych warunkach, chciałby on „uszczęśliwić“ ów „biedny“, „uciśniony“ (!) lud polski? Nie przez duchowieństwo, boć ono, wedłu świątłych, mądrych i wysoce dojrzałych opinij apostołów z „Głosu“, jest „plagą“ i „nieszczęściem“ ludu. Nie przez szlachtę rzecz prosta, boć ona, według tychże samych opinij, radaby wydrzeć ludowi to nawet, co już dzisiaj posiada. Czy tedy pan Nieborski chciałby dać owo szczęście chłopu bezpośrednio przez samo wydawanie „Głosu“? Ależ on sam, p. Nieborski nie wierzy w to z pewnością. Bo choćby ten „Głos“ był jeszcze (lubo coś podobnego trudno jest sobie wyobrazić) o sto procent głośniejszym, chłop polski nie usłyszy go wcale. Więc co?

Gdzie jest praktyczny nerw programu i tych wszystkich wiwatów za pomysłość chłopską?

Co innego, gdy w jakiejś sprawie społecznej przemawia inny znów postępowiec — nasz ex-mistrz Aleksander. Ten bo przynajmniej nieważ chwile, w których wie czego chce mu wypada, a jedną z chwil takich miał w tym czasie właśnie. Jakis przedsiębiorca jakiejś trupy aktorów zagrał w jednej z budek piwnych w Warszawie bzdurną farsę żydowską przełożoną — jakby dla jego splugawienia — na język polski a reformator z „Prawdy“ czepiając się tej myśli, tego wielkiego wydarzenia oburzył — woła rozpromieniony: dajcie nam, jak najwięcej nam dajcie, takich arcydzieł żydowszczyzny! Niech „zdolne pióra wprowadzają je na scenę polską“ albowiem jest to droga, po której „izraelici“ dojdą niezawodnie do uspołecznienia, uobywatelenia no, i wogóle do ucywilizowania!

Nie śmiejcie się państwo, albowiem, powtarzam to raz jeszcze, odzywający się w tej wielkiej sprawie: żydowskiej Szulamisy prorok, wie dobrze czego chce. Wie on, iż tylko z pośród żydków „ucywilizowanych“ rekrutują się u nas najzawziętsi cynicy, ateusze i bezwyznaniowcy, a tacy znowu tylko mogą składać się na wyżywienie swej „Prawdy“. Gdyby nam przypadkiem żydków takich zabrakło — w „Prawdzie“ mogłaby nastąpić „przemiana gatunku“: z postępowej mogłaby się zrobić — konserwatywną.

Tylko niestety, nawet ci ucywilizowani żydkowie ci „uobywateleni polacy“ poczynają się coraz widoczniej sprzeniewierzać społeczeństwu „rdzennemu“ Ot i świeżo na przykład wydawca „Gazety“ od... losowań p. Adolf(?) Peretz ten sam p. Peretz który nie tak dawno przeciw składał „w imię jedności i braterstwa“ ofiarę (o ile pamiętam) na powodzian polskich i wołał głośno tak aby go cały świat słowiański usłyszał: „daję 100 rubli bez komentarzy“! (autentyczne). — ten sam mówię pan Peretz posądzony przez „Dziennik Łódzki“ o dość brzydki „szantaż“ opuścił niewdzięczne „dzieci jednej ziemi“ i — przystał do „niemiaszków“. Pan Peretz zwymyślwszy najpierw swojego przeciwnika w swojej tak nazwanej „Gazecie“ po starozakonnemu, udał się pod opiekę niemieckiej, osławionej, a znanej z nienawiści dla Polaków *Lodzkerki* i tam już, w najbliższej żargonowi gwarze, repliki swe pomieszcza.

Aj, aj, nieszczęście! Ubył nam, ucywilizowany (??) „polak mojżeszowy“; — zapłaczcież asymilatorowie!

Kamienny.

Z CAŁEGO SWIATA.

Wynalazczość XIX w. — Sposób uczynienia się nietykalnym. — Jego wynalazczynie. Nowa opera i nowy kompozytor. — Gdzie dynamit nie może, tam Rotszylda poszle. — Handel męzami w Ameryce. — Wyrzut nieboszczykowi Kolumbowi. — Ameryka a Europa. — Zęby i skóra Pranziniego. — Kronikarz dostaje młodości. — O co chodzi w tej chwili politykom? — Pogadanka w Friedrichsruhe. — Ciekawa wiadomość „Timesa“. — Nowe trójprzymierze. — Gdzie szukać klucza zagadki? — Zajście między strażnikiem pogranicznym niemieckim a rzekomymi kłusownikami francuzkimi. — Niezasłużone kłopoty Kaufmana.

Wynalazki stały się tak powszechnym chlebem pod koniec tego XIX wieku, że robią je nietylko ludzie ale i inne twory organiczne. Do tej kategorii najświetniejszych wynalazków należy sposób uczynienia się nietykalnym. Sposób to bardzo prosty: zjadasz człowieku parę nabołów dynamitu, przypinasz sobie z przodu i z tyłu kartkę z napisem: „Mam w żołądku dynamit“ — i już! Operacja ta nie sprawi ci żadnej przykrości, owszem, dynamit ma w jedzeniu posiadać zapach nader przyjemny; po zjedzeniu, wprawia cię w wyśmienity humor: śmiejesz się, śpiewasz, skaczesz, wyprawiasz rozmaite figle, a wszyscy omijają cię z daleka, z obawy, że byś za łada potrąceniem nie eksplodował.

Otóż wynalazczyniami tego genialnego sposobu są dwie, z przeproszeniem, siostry wieprzowe, które zjadłszy przypadkiem dwa naboje dynamitu, podłożone pod pniak przeznaczony do wykarczowania, wpadły w nader krotocwilne usposobienie: poczęły kwiczeć, brykać i dokuczać innym czworonogom, aż nareszcie zniecierpliwiony muł kopnął jedną z nich... Bum!... okropna eksplozja!... Niefortunny muł odleciał o 500 kroków, nieszczęśliwe nierogate stworzenie zniknęło bez śladu, tylko w miejscu gdzie stało ukazał się ogromny dół, na 20 stóp głęboki. Tak to wiele wynalazcy częstokroć życiem własnem opłacają genialne swoje pomysły, podczas gdy inni odnoszą korzyści z ich wynalazków. Za to druga, pozostała przy życiu siostrzyczka, podryguje sobie dotąd uciesznie, płata rozmaite kawały, a wszyscy nietylko schodzą jej z drogi, ale uprzątają kamienie z pod jej stópek, aby się śnać nie potknęła i upadłszy

nie narobiła awantur... Naturalnie że ojczyznę wynalazku i wynalazczyń jest... Ameryka!

No, co prawda, awantury można wyrabiać nawet bez objedzenia się dynamitem. Taki bezdynamitowy kawał urządził na przykład niejaki p. Franchetti, nowy kompozytor muzyczny. Napisał on operę, której tytuł pozostaje dotąd w tajemnicy, ale która na siedemnastu jednocześnie teatrach będzie po raz pierwszy przedstawiona; z tych teatrów szesnastu aż przypada na Włochy a jeden na Nowy York. Siedemnaście dyrekcji teatralnych znievoliło do przedstawienia w jednym i tym samym dniu jednej i tej samej premiery, to zaprawdę awantura, do której zrobienia nawet dynamit nie wystarczy; — wystarczy tylko... Rotszyl, którego kompozytor jest wnukiem. Naturalnie że pomyślano o skaptowaniu nietylko dyrekcji ale i publiczności... tylko że to publiczność włoska była bardzo kapryśna a zmysł muzyczny ogromnie posiada rozwinięty. A nuż mimo wszelkich zabiegów opera zostanie wygw...

Albo i to, czy to nie jest czysta awantura, że w Ameryce kobiety zaczynają handlować mężami. prosto tak jak my w Europie handlujemy końmi i innymi zwierzętami czworonożnymi?... Pewna bogata miss w Nowym Yorku zakochała się w człowieku żonatym. Nie wiele myśląc, posyła do żony z zapytaniem, ileby żądała za odstąpienie męża. Położono cenę 100,000 dolarów. Targ w targ, przybito kupno za 50,000; pokazuje się, że w Ameryce nawet mężów umieją kupować „krakowskim targiem“. Ułożono à l'amiable sposoby przeprowadzenia procesu rozwodowego, i dziś zakochana miss jest już po ślubie z rozwodnikiem. Wprawdzie 50,000 dolarów ładna to sumka; nie jeden sprzedałby się sam za tę cenę, byleby tylko znalazł na siebie kupczynię, ale zawsze, jak na „pana stworzenia“ jest to proceder nieco ubliżający... O Kolumbie, Kolumbie! po co ty wynalazłeś tę Amerykę...

Tak się to mówił... Człowiek zawsze rad wszystko zle zwać na drugiego; w cudzym oku słomkę widzi a we własnym belki nie dostrzega. Nauczylismy się wygadywać Bóg wie co na Amerykę, a sami czyż się lepiej od niej sprawujemy? Gdzież tam! Nasze wybryki są innego gatunku, ale który gatunek lepszy?... Niech kto chce odpowiada na to pytanie, ja nie mam odwagi.

Niedawno temu w jednej z moich gawęd opowiadałem jak się zachował miły ludek paryżki wobec egzekucji Pranziniego. Czy myślicie że ze śmiercią skazanego skończyło się wszystko?... broń Boże! Dzisiaj w kraju, który mimo przerażającego upadku moralnego, ma zawsze pretensję do sterowania cywilizacją europejską, ludzie bogaci (bo na to bogatym być trzeba) noszą wśród breloków u łańcuszków od zegarka żęby Pranziniego, które mają być dla nich szczęścia talizmanem!...

Do jednego z fabrykantów portmonetek w Paryżu przyszedł jakiś „bardzo porządny“ jegomość i przyniósł kawałek skóry, żądając żeby mu zrobił z niej dwie portmonetki. — Ależ to skóra ludzka! — zawołał fabrykant, przyjrawszy się bliżej materiałowi. — A tak, to skóra Pranziniego, — brzmiała spokojna odpowiedź.

Takiej Portmonetki mają się trzymać pieniądze!...

A!... niechby nasza nierogacizna objadała się dynamitem ile tylko zechce; niechby nas nasze żony nie po 50 ale nawet po 49 tysięcy dolarów sprzedawały, bylebyśmy tylko zębów stracenców przy dziurce od kamizelki a portmonetek ze skóry ludzkiej w kieszeni nie nosili! Krwawe skalpy czerwonoskórych wojowników to przynajmniej dowody miękkiej odwagi. To trofea zdobyte z narażeniem własnego życia, ale to... Jakże mały krok dzieli szczyty świetności społeczeństw, od otchłani ohydy! Umysł się wzdryga, serce się ściska na tę myśl i pióro wypada z ręki.

Miałem dla Was jeszcze kilka ciekawych epizodów z bieżącej kroniki całego świata i bliższych nas okolic, chciałem Wam między innymi opowiedzieć, jak bogaci żydowie galicyjscy, dla oszczędności, jeżdżą w wagonach bydłych, ukryci w sianie złożonym w kącie dla wołów podróżujących; — ale odpadła mi ochota do wszystkiego. Żęby mnie boleć zaczynają na myśl o brelokach bankierów paryżkich i nie śmiem ręki włożyć do kieszeni, żeby się tam ze skórą Pranziniego nie spotkać. Młdo mi się robi, i za ledwie będę miał siłę dodać jeszcze kilka koniecznych końcowych wiadomości; resztę dopowiem, gdy trochę ochłone z wrażeń paryżkich...

Co książkę Bismark i hrabia Kalnoky gadali z sobą w Friedrichsruhe i czem sobie francuzi na tę łaskę zasłużyli, że niemcy pilnują ich zwierzostann i strzelają kłusowników bobrujących po lasach francuzkich, oto pytania, nad które mi lamie sobie w tej chwili głowę świat polityczny. Niestety! o odpowiedź na jedno i na drugie trudno.

Wiadomo że w Friedrichsruhe była mowa o kwestyji wschodniej, a specjalnie zapewne o Bulgaryi; mówiono także podobno o Serbii, jak zapewnia „Standard“, ale co urzędowo ostatecznie, Bóg raczy wiedzieć. Z ciekawą wiadomością wystąpił „Times“, że między Austryją, Anglią i Włochami stanęło osobne przymierze, które ma być w związku z naradami w Friedrichsruhe, a zatem poniekąd ich wpływem. Dla czego Anglia nie przystąpiła wprost do przymierza środkowo europejskiego, do którego już należą Austryja i Włochy? Dla czego książkę Bismark daje niejako sankcję związkowi mocarstw, które tak odmienne stanowisko zajmują wobec sprawy bułgarskiej, będącej prawdopodobnie jądrem nowego przymierza? Oto nowe pytania, które doniesienia „Timesa“, mogłyby podać w zupełną wątpliwość, gdyby go nie brały na seryo „dobrze poinformowane“ dzienniki niemieckie. Wobec tego, klucz do rozwiązania tej zagadki mógłby dać chyba poczciwy mekler, który zapewne jest jej autorem, ale wątpić należy czy go dać zechce.

Scena znów między strażnikami niemieckimi, a rzekomyimi kłusownikami francuzkimi, odbyła się na granicy francuzko-niemieckiej. Żołnierz ze straży pogranicznej niemieckiej, ujrzał, na terytorium francuzkiem, ludzi polujących, których, jak powiada, wziął za kłusowników, tępiących zwierzynę francuzką i jako do takich dał z za drzewa trzy razy ognia. Omylił się biedak, gdyż było to polowanie zupełnie legalne, i zabił jednego człowieka z naganki, a zaproszonemu na polowanie oficerowi od dragonów francuzkich odstrzelił nogę. Niewdzięczni francuzi narobili o tę bagatelę hałas a co niemiarą i rzecz ta weszła już na drogę dyplomatyczną, a poczciwy ów Niemiec (zowie się Kaufmann) za swoją życzliwość dla zwierzyny francuzkiej popadnie zapewne w niemałe tarapaty, gdyż chyba niemcy będą musieli dać jakąś satysfakcję francuzom.

I rób tu człowieku drugim dobrze!...

E. Jerzyua.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Wystawa nasion. II. — W dziale zbóż wystawców jest stosunkowo niewielu, ale też zato są okazy świetne, świadczące bardzo wymownie o pracy w tym kierunku wystawców. Bogactwem okazów zwraca na siebie przedewszystkiem, podobnie jak i w roku zeszłym, uwagę kolekcya zbóż z Ursynowa i Krasnego hr. Ludwika Krasieńskiego; a wielostronnością produkcji, prowadzonej w kierunku praktycznym, odznacza się niemniej liczny zbiór okazów, zwłaszcza pszenicy pana Gustawa Mazurkiewicza z Niedzwicy Kościelnej gub. Lubelskiej.

Sądzimy zresztą iż najpraktyczniej będzie, gdy zamiast, mniej lub więcej, pochwalnych wzmianek, dla informacji czytelników, podamy listę wystawców, którym w dziale tym przyznane już zostały stosowne odznaczenia: jednym za okazy „celne“, drugim za „bardzo dobre“.

Tak więc, za pszenicę, jako za okazy celne, otrzymali nagrody p. p. Gustaw Mazurkiewicz z Niedzwicy Kościelnej za pszenicę skalbmierską, Konstanty Paprocki z Pociuszyna za kujawkę, Wiktor Suski z Golan za puławkę, Mieczysław Epstein z Dołhobyczewa za banatkę.

za pszenicę, jako za okazy bardzo dobre: p. p. Ignacy Popiel z Turna za pszenicę angielską, Jan Górski z Woli Pękoszowskiej za pszenicę puławkę, Adolf Schütz z Białej Wielkiej za kujawkę, Sliwowski ze Skordjowa i Edmund Dobrzański z Nadolnej za puławkę, Ludwik hr. Krasieński z Ursynowa za pszenicę Calais, Henryk Unrug z Ryk za puławkę, Towarzystwo osad rolnych z dominium Orłów za puławkę.

za żyto, jako za okazy celne: p. p. Buszczyński i Łążyński z Niemirycza, Zygmunt Leśkiewicz z Dziebałtowa, Henryk Romocki z Domaszewic, Wyganowski.

za żyto, jako za okazy bardzo dobre: Aleksander Rodkiewicz z Tłuszcza, Jan Górski z Woli Pękoszowskiej, Aleksander Riedel ze Straszkówka, Aleksander Janasz z Dańkowa, dominium Oryszew, Konstanty Sliwowski ze Skordjowa.

za jęczmień, jako za okazy celne: Ludwik hr. Krasieński z Krasnego, za jęczmień zwany „Krasieński“, Józef Malewski z Oryszewa.

za jęczmień, jako za okazy bardzo dobre: Karol Ochencowski ze Skrzyszewa, dominium Oryszew.

za owies, jako za okazy celne: Waleryan Titow ze Smolan, Ludwik hr. Krasieński z Ursynowa.

za owies, jako za okazy bardzo dobre: Józef Malewski z Oryszewa, Zygmunt Leśkiewicz z Dziebałtowa, Konstanty Sliwowski ze Skordjowa, Jan Ordega z Żelechowa.

Za groch, jako za okaz celny: Ludwik hr. Krasiński i p. p. Ludwik Szmiński z Podobłocia, Aleksander Riedel ze Straszkówka i Karol Ochenski ze Skrzyszewa, jako za okazy bardzo dobre.

(d. n.)

Narady rolnicze W ubiegłą Sobotę, odbyły się w lokalu Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, narady członków nowo utworzonego, przy sekcji drugiej, oddziału rolnego. Między innymi, p. Adolf Schütz przemawiał w przedmiocie cła od cykoryi, p. Plewako w kwestyi cła od nasion, a p. Oraczewski w sprawie podniesienia naszego gorzelnictwa. Była też mowa o obniżeniu cła od niektórych machin i narzędzi rolniczych.

Doktoryzacja. W dniu 21 z. m., jak donosi „Wiek“, w Akademii Duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu podpisano dyplom na doktora św. Teologii, udzielony ks. Prałatowi Michałowi Nowodworskiemu, znanemu i zasłużonemu wielce pracownikowi na niwie literatury kościelnej.

Wyświęcenie. W tych dniach, J. E. Biskup Ruszkiewicz wyświęcił alumna seminarium w Warszawie, Władysława Michała Dębickiego. Nowy kapłan, w którym duchowieństwo nasze pozyskuje dzielnego i pełnego poświęcenia pomocnika, dał się już chlubić poznac z prac swoich filozoficzno-krytycznych. Jedną z tych prac p. t. „Bezwyznaniowość, jej przyczyny i skutki“, przed wstąpieniem ks. Dębickiego do seminarium, drukowała „Rola“, a i dalsze współpracownictwo pisarza, którym piśmiennictwo polskie śmiało szczycić się może, mamy łaskawie przyrzeczone.

Nowości wydawnicze. Wyszedł już z druku, wydawany staraniem i nakładem współpracowników „Wiek“, — „Kalendarz Wiek“ na rok 1888. Wydawnictwo to, prowadzone od lat kilku, dało się już dostatecznie poznać czytającej publiczności polskiej, zalecanie go przeto byłoby zbyt bezużytecznym. Powiemy więc tylko, że jak roczniki poprzednie, tak i ten jaki mamy przed sobą, przedstawia się wzorowo. Jest on zaś takim, zarówno pod względem literackim jak i informacyjnym. Na ten też ostatni dział zwłaszcza „Kalendarz Wiek“ chcemy zwrócić szczególną uwagę czytelników. Wszystkie, nie wyłączając i „najdawniejszych“, tego rodzaju wydawnictwa szwankowały i szwankują na brak lub też niedokładność najpotrzebniejszych nieraz informacji, podczas gdy „Kalendarz Wiek“ tej właśnie potrzebie, stanowiącej najglówniejszą rację istnienia Kalendarzy w ogóle, w zupełności czyni zadość. Pod tym względem „Kalendarz Wiek“ zostawił daleko po za sobą wszystkie swoich dawniejszych i dzisiejszych współzawodników; jego dział informacyjny jest nie tylko najobszerniejszym, ale i bezwarunkowo najlepszym, najstaranniej podanym. Jeżeli zaś dodamy, że książka zawierająca kilkadziesiąt arkuszy druku, ozdobiona wcale udatnemi rysunkami i mieszcząca w sobie prace piór prawdziwie utalentowanych — kosztuje wszystkiego kop. 50, to przynajmniej wypadnie, że „Kalendarz Wiek“ godzien jest ze wszelkich miar tego uznania a zarazem tej wziętości i popularności jakie sobie już, w krótkim stosunkowo czasie, wyrobił.

Najnowsze dzieło słynnego teologa, O. Fr. Ks. Schouppégo p. t. „Śmierć i jej nauki w przykładach“, drukuje (z upoważnienia autora) pismo „Echo Trzeciego Zakonu Św. O. Franciszka“, w przekładzie polskim redaktora tegoż pisma D-ra Władysława Miłkowskiego.

Nakładem księgarni Cithurusa, wyszła, w drugim wydaniu, broszura Wład. Mich. Dębickiego pod tytułem „O zasadniczych różnicach psychicznych między człowiekiem a zwierzęciem“.

Drukowana w „Kuryerze Warszawskim“, powieść Wołodego Skiby p. t. „Nad poziom“ wyszła w osobnej książce.

Pan Marian Jasińczyk wydał zbiór obrazków swoich p. t. „Drobiazgow garść“.

Z Nowo-Mińska otrzymujemy następującą wiadomość: „Wspomnieliście w swej „Roli“ o założeniu w miasteczku naszym nowego sklepu polskiego przez p. Orzechowską, a zarazem wyraziliście nadzieję iż publiczność nasza, chrześcijańska, poprze zapewne to nowe przedsięwzięcie, mające do zwalczania zawziętą konkurencję synów Izraela. Otóż w istocie tak się stało, ale niezupełnie. Wprawdzie, pewna część publiczności tutejszej spieszy chętnie do sklepów chrześcijańskich, wprawdzie są ludzie dobrej woli, którzy radziby im zapewnić byt i powodzenie, ale znaleźli się też i... inni. Znaleźli się i jacyś zwaryowani judofile, którzy — rzecz trudna do uwierzenia, a jednakże prawdziwa! — z nadmiaru czułości dla „biednych żydków“, agituja poprostu przeciw sklepom polskim. Szczęściem że ci protektorowie... szwindlu i demoralizacji znaleźli się w niewielkiej stosunkowo liczbie, i że ta ich agitacja, oprócz ośmieszenia się do reszty w oczach ludzi rozsądnych, nie przyniesie im chyba nic innego — w zysku...“

Sztuki plastyczne. „Echo muzyczne i teatralne“ pomieściło w ostatnim swym numerze wizerunek pomnika dla Królikowskiego wraz ze szczegółowym opisem projektu i przedstawieniem całego stanu sprawy pomnikowej.

Po zmarłym malarzu Hadziewiczu pozostało kilkanaście obrazów treści religijnej, posiadających wysoką wartość artystyczną. Obrazy te mają być w części zakupione na ofiarę do kościoła Ś-go Aleksandra w Warszawie.

Z teatru i muzyki. Występy p. Mierzwińskiego w Warszawie ściągają, naturalnie, tłumy publiczności. „Chlubie narodu“, której „miło jest śpiewać“ swoim, lecz „najmilej“ — niemiaskom, wyprawiono zbiorową, pożegnalną ucztę. Bodaj to takt i rozum naszej poczciwej „opinii publicznej“!

Śpiewak, p. Negri za gościnne występy swoje na scenie warszawskiej, kończące się z dniem podobno dzisiejszym, otrzyma 20,000 franków.

Arogancja i... tolerancja. Jeden ze wzbogaconych żydków warszawskich, prezentujący obecnie na wystawie okazy zboża „z dóbr swoich“, — z racji jakiegoś zarzuconego „woreczka“ — odezwał się, jak nam o tem naoczny świadek opowiada, do jednego z urzędników Muzeum w sposób tak brutalny i pełen istic semickiej arogancji, iż dziwić się należy że zarząd wystawy onego eksponenta, wraz z jego... woreczkami żyta czy tam pszenicy, nie wyprosił za drzwi. Miałby zarząd czuć więcej estymy dla starozakonnych Geldhabów niż dla człowieka, który z pożytkiem rzeczywistym pracuje dla instytucji od chwili jej powstania? Ach, prawda! od czegoż tolerancja?... Toć przecie i w komitecie sędziów wystawowych, mających oceniać rezultaty pracy naszych rolników, spotykamy żyda, którego jedyną specjalnością były niegdyś drobniejsze... a dziś grubsze operacje finansowo-handlowe. Żyd, spekulant giełdowy sądzi pracę rolnika! Nie jestże to równie ciekawe jak bezwstydné?..

Zmarli: S. p. Józef Danielewicz, weteran b. wojsk polskich — zm. w Krakowie w 78 roku życia.

S. p. Ryszard Noeh, b. profesor Konserwatorium warszawskiego i przez lat kilkadziesiąt prywatny nauczyciel muzyki — zm. w Warszawie.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

29 Września 1887 r.

Wiadomości z rynków zbożowych zarówno amerykańskich, jak i europejskich są ciągle tak jednobrzmiące, iż możnaby się powoływać jedynie na sprawozdania poprzednie — i na tem kończyć.

Bądź co bądź, faktem jest, że usposobienie słabe i niepewne, dość długo się przewleka, jakkolwiek z drugiej strony są coraz wyraźniejsze oznaki żywszej chęci do kupna.

W Gdańsku pszenicę wyborową płacono 7.05—7.15, żyto polskie 4.25—4.40.

Na targach warszawskich, mimo szczupłych dowozów, usposobienie niezmiennione.

Na placu Witkowskiego, pszenicę wyborową płacono 6.40—6.50, średnią 6.10—6.20. Żyto wyborowe 4.10—4.20, średnie 3.80—4.00. Owies sprzedawano po 2.20—2.70.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 107—110, średnią 101—103, ordynaryjną 87—90 kop. za pud. Żyto wyborowe 70—72, średnie 65—68, ordynaryjne 63—65. Owies wyborowy 70—73, średni 66—68, ordynaryjny 58—60 kop. za pud.

W handlu okowitą usposobienie mocne. W Hamburgu cena regulacyjna wynosiła w tych dniach 27 marek za 100 litrów; na rynku zaś warszawskim, płacono za garniec w sprzedaży hurtowej 2.68—2.70, w detalicznej 2.72—2.75.

Na targu pragskim i w tygodniu ubiegłym nie zaszły żadne zmiany. Tak ilość dostawianych wołów, jak i ceny są ciągle jednakowe.

Dostawa drobiu i nabiálu na rynki żywnościowe jest znaczną, co też wywołuje i odpowiednie obniżanie się cen. Kurczęta płać po 15—30 kop. sztukę. Masło dobre bez soli sprzedaje się już po 25—30 kop. funt. Jaja płać 80 kop. za kopę.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. Ks. Biały... w Kor. — Zgadamy się w zupełności iż „dokonywanie analiz tak nazwanych win krymskich, pochodzących ze składów żydowskich, byłoby rzeczą pożądaną“; — najpraktyczniejszą jednak, podług nas, byłoby niekorzystanie z usług tych składów, zwłaszcza gdy dziś istnieją już, prowadzące ten handel na szeroką skalę, firmy chrześcijańskie. Za życzliwe słowa dziękujemy serdecznie.

P. Trzeb. w Radomiu. — Wiadomości podobnych odbieramy setki; są to jednakże rzeczy osobiste, których ogłaszanie drukiem zajmowałoby nam niepotrzebnie czas i miejsce w piśmie. Z pańskiej korespondencyi tembardziej korzystać nie możemy, skoro za nią „nie przyjmujesz“ pan „odpowiedzialności“.

P. Fr. Stach. w Smol. — Rzecz spóźniona; w każdym jednak razie odpowiemy listownie.

Panu L. Kr. w Warsz. — Jest to właśnie jeden z tych pachołków p. Lewenthala, z którym jakakolwiek rozmowa byłaby dla inter-

lokatora wprost ubliżającą. Mimo też, że indywiduum to od lat pięciu wynajmuje się żydom do rzucania obelg na „Rolę“, nie doczeka się zaszczytu, aby ona o nim kiedykolwiek wspomniała. Zresztą rozmowa z samym panem... Salomonem, jak z każdym starozakonnym, nie jest dla nas arcy—przyjemną, a cóż dopiero z jego służbą! Dziełko, o które sz. pan zapytuje, wyczerpane zupełnie.

KU PRZESTRODZE.

(Nadesłane). Przed kilkoma tygodniami tak w „Roli“, jak i w innych pismach była uczynioną wzmianka, iż dwaj żydkowie po niepraktykowanie niskiej cenie kupili, położone w gub. Piotrkowskiej, dobra *Wólkę Łękawską*. Otóż stosownie do ogłoszenia mego, podanego w N-rze 33 z r. b. „Tygodnia“ piotrkowskiego, chcę obecnie przedstawić obrazek tej operacji, ilustrując go faktami tylko—niczem więcej. Stosownie do wspomnianego ogłoszenia chcę wyjaśnić bliżej jak się stało, że dobra obejmujące 114 włók przestrzeni, dobra w których cena samego lasu dochodzi do 40,000 rubli, dobra których wartość, mimo znacznego obciążenia służebnościami, mimo braku zasiewów i inwentarzy, wynosi, licząc najniżej według cen dzisiejszych, minimum 60,000 rubli, że dobra te mówię sprzedanemi zostały za 16,000 wyraźnie za sześć tysięcy rubli.

Co do mnie—stało się. Raz wyzuty z mienia nie wrócę już do niego; materyalnie jestem zrujnowany. Nie chcę przecież i nie mogę pozwolić na szarpanie mojej czci osobistej przez rozsiewanie takich wieści jak naprzykład że w tej sprzedaży brałem czynny udział ze szkodą wierzycieli moich, że sprzedaż ta dokonana została z moją wiedzą i wolą, że się zniósł i porozumiał z obecnym nabywcą i t. d.

Obok tego do wyjaśnienia przyczyn i okoliczności towarzyszących tej sprzedaży skłania mnie inny wzgląd jeszcze. Zaufałem zbyt łatwo i przez to zaufanie popeliłem błąd; widzę to aż nadto jasno, choć niestety zapóźno. Miłość własna nakazywałaby mi może o fakcie tym nie rozpisywać się w dziennikach, ale z drugiej strony poczucie ludzkości zaleca mi postąpić przeciwnie. Pragnąłbym aby to co mnie spotkało—ujawnione—stało się *przestroga* dla innych którzy również przez zbytek zaufania, podobnemuż ułedzby mogli losowi.

Oto więc ów obrazek i fakta:

W roku 1878 z przyczyn natury moralnej, postanowiłem sprzedać natychmiast dobra Zawadów i Łękawka, a gdy o tem oznajmiłem, posiadającemu nieograniczone zaufanie moje, niejakiemu N. Ejbuszycowi, podjął on się sprzedaż tej dołpełnić, w cenie 160,000 rubli to jest w cenie którą sam za dobra zapłaciłem, bez doliczania procentów i włożonego trudu.

Jakoż N. Ejbuszyc ze współnikiem swoim M. Cuglem sprowadzili rzeczywiście kupców, a lubo także żydów—jednakże ludzi należących, a przynajmniej zaliczających się do—inteligencji. Oni też namówili mnie do sprzedania połowy całego wówczas posiadanego majątku to jest 115-stu włók. Sprzedaż ta jednak miała być tymczasową jedynie; druga bowiem połowa majątku miała być przez tych panów nabytą w ciągu paru miesięcy, ja zaś miałem otrzymać nie tylko cały włożony mój kapitał ale i procent jeszcze jakiś.

Idąc za tą radą i wierząc zapewnieniu temu, sprzedaję 115 włók za 105 tysięcy rubli i z zupełnym zaufaniem podpisuję akt, podyktowany przez nabywców!! Mocą zaś aktu tego kupujący mają dopełnić rozgraniczenia i pomiaru w ten sposób, aby w sprzedanych im 115 włókach było 50 włók lasu—oraz dopełnić układów z włościanami o służebności kosztem połowy majątku pozostałej przy mnie. Podpisałem akt taki bo wierzyłem że panowie ci nabędą wkrótce cały majątek, że przeto jakkolwiek będzie nasz układ i stosunek tymczasowy—ja odbiorę swój kapitał całkowity.

Zaraz atoli przy tym akcie okazało się iż N. Ejbuszyc zobowiązał się dopożyczyć kupującym 30 tysięcy rubli a dostarczył tylko sześć. Mimo to przecież ufając ciągle swym operatorom akt ów zaakceptowałem pokwitowawszy nabywców z wypłaty całkowitej i wzięwszy jedynie od N. Ejbuszycy kwit na 24 tysiące rubli.

W kilka tygodni—ostrzeżony przez jednego z przyjaciół badam rzecz bliżej, i—niestety przekonywam się, iż zaufanie moje zostało w sposób najokropniejszy wyzyskane; gdy zaś jeszcze nieszczęście mieć chciało iż zgubiłem razem z pieniędzmi ów rewers N. Ejbuszycy na 24 tysiące rubli oraz inne dowody ujrzałem się wtedy już na lasce i nielasce otaczającej mnie spółki! I otóż za 24 tysiące rubli dostałem 11, wyraźnie jedenaście tysięcy, w dodatku dostałem je kapaniną i przedewszystkiem na zaspokojenie

najrozmaitszych wymagań współwyznawców N. Ejbuszycy. Z całej zaś należności, jaka mi przypadła, jedynie sześć tysięcy rubli zostały mi wypłacone faktycznie.

Ujrzałem też już wtedy w jaką dostałem się matnię. Bo oto co się dzieje w dalszej konsekwencji mego zaufania. Przedewszystkiem, sprowadzeni przez N. Ejbuszycy kupcy o dokupieniu drugiej połowy majątku nawet słyszeć już nie chcą, a zrzuciwszy maskę „obywateli-rolników“, za jakich się przedstawiali dotychczas, występują w roli spekulantów, których nazwać nie umiem. Powiem tylko, że dla pozyskania kawałka lepszego lasu, robią oni z całego majątku szachownicę; poczem, za staraniem znowu N. Ejbuszycy, oraz jego współnika, po kilku miesiącach gospodarki (1), sprzedają owe 115 włók za 186,000 rubli, to jest biorą o 81 tysięcy rubli więcej nad sumę oznaczoną w owej sprzedaży tymczasowej, pozostawiając przy sobie 30 włók lasu w rezerwie szacunku 60 tysięcy rubli, w granicach dowolnych i z nieograniczonem prawem regulowania służebności. Te jednakże 30 włók lasu sprzedają równocześnie N. Ejbuszycowi i jego współnikom, zarabiając znów na tej operacji dziewięć tysięcy rubli i spychając kwestyę służebności całkowicie na moje barki i z moją, rozumie się, krzywdą. Gdy bowiem przedtem włościanie, wzamian za służebność leśną, żądali odemnie ogółem 24 włók ziemi, teraz oświadczyli wyraźnie: „kiedy żyd sprzedał las, to musimy teraz dostać tyle, ile jeno sami zażądamy“. I podnieśli żądanie swoje do 60-ciu włók, stawiając przytem warunki, odnośnie do jakości ziemi—do spełnienia niepodobne.

Pokrzywdzony w ten sposób przez ów nieszczęsny zbytek zaufania, pokrzywdzony materyalnie na 60 tysięcy rubli z górą, wystąpiłem z protestem; aliści równocześnie dobroczyńcy moi w całej swej kompanii podnoszą alarm i z arogancją plemienną okrzykują mnie za „człowieka niespokojnego“, który śmie przeciwko aktowi urzędowemu występować z protestami i obrażać przez to ludzi tak wspaniałomyślnych! Z drugiej zaś strony, panowie ci nie szczędzili mi i teraz jeszcze komplementów, a gdy znękany zażądałem sądu polubownego, zgodzili się nań chętnie. I czekałem też zapisania się na ów sąd polubowny przez cały rok przeszło, poczem przesłałem wezwanie rejentalne, a gdy i to nie pomogło, pomiesciłem wezwanie w ówczesnym „Echu“ (Nr. 163 z roku 1881) i w „Gazecie Warszawskiej“, gdzie prosiłem wyraźnie „aby p. p. Dr. M. Perlmutter i Anastazy Kempner, dla załatwienia kwestyj wynikłych z aktu z d. 10 (22) Grudnia 1878 roku, a wyszczególnionych w wezwaniu rejentalnem wręczonem im w d. 10 (22) Stycznia 1878 roku, na sąd polubowny zapisać się zechcieli—na której to drodze załatwienia sprawy czekam już półtora roku“. I to jednak przypomnienie pozostało bez skutku, w rezultacie bowiem, p. p. nabywcy oświadczyli iż „nie są małoletni“. Jak zaś panowie ci wyszli z swoimi znowu nabywcami, to jest z tymi którym odprzedali owe 115 włók, dość będzie wspomnieć, że mając prawo wybrać sobie 30 włók lasu, wymierzili przestrzeń tę w sposób dość ciekawy. Wymierzili ją bowiem, wyłączając odstępy pomiędzy drzewami i prowadząc granicę po ścianie drzew, tak, iż z tych 50 włók lasu, jakie sobie wzięli odemnie—nie pozostało nic prawie. I owi też nabywcy nowi, pragnąc wydostać się z tej opieki, dopełnili handlu na dom—pozostając, jak to mówią—na czysto!

Zostawienie mnie z 114 ma włókami, w licznych kawałkach i granicach, na widok których najubożniejszego nawet oburzenie przejąłoby musiało, miało w rachubach moich operatorów cel ważny i praktyczny (!) wielce. Szło im mianowicie o to, abym cały ten obszar, doprowadzony do takiego stanu, sprzedał im byle za co, za jakies dwadzieścia parę tysięcy rubli, które mi też rzeczywiście łaskawie ofiarowywali, lecz na tę nową transakcyę zgodzić się już nie chciałem, choćby z tej tylko racyi, że to co mi jeszcze zostało, a w czem mieściło się trzydzieści kilka włók lasu, przedstawiało co najmniej wartość 70 ciu tysięcy rubli.

Na budynki jednak i urządzenie gospodarstwa na pozostawionej mi przestrzeni musiałem zaciągnąć pożyczkę w sumie kilkunastu tysięcy rubli, a potrzeba spłaty tego długu zmusiła mnie do pogodzenia się z losem. Wziąłem się tedy do układów z włościanami i ułożywszy się z połową, a umówiwszy z drugą, wydałem znowu sześć tysięcy rubli pożyczone na weksle, a którą to sumę winni mi byli zwrócić dobroczyńcy moi. Robi się tedy nowy akt mocą którego obowiązują się oni wypłacić mi 6,000 rubli, jeżeli służebności w ciągu lat trzech zostaną uregulowane, i w tym celu zawsze tenże sam N. Ejbuszyc z kolegami pożyczają mi 4,000 pisząc w dokumencie iż pożyczczyli 8,000, lecz że te osm wykresła i jeszcze dwa dopłacą skoro tylko oni te 30 włók lasu będą mieli wolne od służebności. Konieczność

spłaty weksli zmusiła mnie znowu do podpisania i tego aktu zwłaszcza iż przeprowadzenia układu z włościanami byłem prawie pewnym. Tymczasem stało się inaczej; interes nowych nabywców owych 115 włók podyktował im niedopuszczenie układu z włościanami, z których też połowa (druga), mimo wszelkich umów przedwstępnych, cofnęła się stanowczo.

W tym czasie przyjąłem honorowy urząd w instytucji ubezpieczeniowej i prawdopodobnie ścisłość w wykonywaniu powierzonych mi czynności stała się przyczyną klęsk jakie mnie w ciągu dwóch lat spotkały; w jednym roku padły mi wszystkie konie w ciągu dwóch dni, w drugim zaś spalił mi się całkowity sprzęt zboża. Gdy zaś w trzecim grad zniszczył prawie wszystko, wtedy o odpłacaniu procentu od zaciągniętego długu myśleć już nie mogłem, i wtedy też główny wierzyciel wystąpił o spłatę kapitału, a gdy spłata ta, przy pomocy ludzi dobrej woli jacy chcieli przyjąć się mi z ratunkiem, miała być dokonana, wówczas znów wierzyciel się cofnął i sumy ofiarowanej mu przyjąć nie chciał. Wówczas też N. Ejbuszyc i kompania występują znowu na scenę: płacą zaległe raty Towarzystwa a N. Ejbuszyc zapewnia, iż on zmusi onego kapitalistę-wierzyciela do zbycia swojej sumy którą on nabędzie, a wyłożony kapitał odbierze następnie w postaci lasu. Gdyby zaś ów wierzyciel sumy swej sprzedać nie chciał, w takim razie on, Ejbuszyc, przeliczytuje go do pokrycia całych 8,000 rubli, które on przyzna na mą korzyść, bylebym dokładał starań o przeprowadzenie układów z włościanami.

Jakkolwiek były to zapewnienia słowne, to jednak widząc w nich interes własny Ejbuszycy, a obok tego wierząc jeszcze, iż robi on to może w celu wynagrodzenia choć w części tylu krzywd mi już wyrządzonych, byłem o siebie i swoich wierzycieli spokojny. Pracowałem więc dalej z tem większą usilnością nad przeprowadzeniem układów, ponosząc na ten cel coraz większe wydatki i nie wyciągając nic z majątku dla siebie. Tymczasem, N. Ejbuszyc, sekretnie, w przeddzień licytacji, zgłasza się do wspomnianego wyżej wierzyciela, który też za tę samą sumę jaką miał ofiarowaną przezemnie przed pół rokiem go t ó w k ą — sprzedaje wierzycielność swoją N. Ejbuszycowi na k r e d y t roczny, poczem tenże N. Ejbuszyc dopuszcza licytację i stając do niej kupuje dobra na początku wspomniane za 16,000 rs., — kupuje je, rozumie się, z krzywdą moją i moich innych wierzycieli, którzy wiedząc jaką mam umowę z Ejbuszycem, o wierzycielności swoje byli również spokojni.

Naturalnie, dowiedziawszy się o tym fakcie spełnionym bez mej wiedzy, spieszę z zapytaniem co to ma znaczyć, i dowiaduję się od N. Ejbuszycy iż musiał on to zrobić, albowiem tego żądał ów kapitalista-wierzyciel od którego sumę nabył, i że pod tym tylko warunkiem sumę tę mu sprzedał. Pospieszyl jednakże N. Ejbuszyc dodać wspianolomyślnie, iż zdaje on się chętnie w tym razie na sąd polubowny. Wymienił mi przytem N. Ejbuszyc, jako arbitrow, kilku ludzi nieposzlakowanej prawości, a między nimi i pana Szpilfogla, właściciela Woli Krysztoporskiej, jakkolwiek żyda, ale stanowiącego może w całym kraju, pod względem uczciwości, wyjątek, na którego też i ja, jako na arbitra, z góry się zgodziłem.

Po zbadaniu atoli N. Ejbuszycy, p. Szpilfogel oświadcza mi: „ja znam od początku cały przebieg tej sprawy, ale oni myślą że ja jako żyd będę z nimi działał, aby panu zdjąć ostatnią koszulę. Otóż ja się usuwam, bo widzę iż według swego przekonania interesu nie przeprowadzę, a o zapisaniu się notaryalnym na sąd polubowny N. Ejbuszyc nawet słyszeć nie chce. Pocóż więc mam się kompromitować i narażać na śmiech albo krzyki?“

I rzeczywiście z innej znów strony zostają przestrzeżonym iż N. Ejbuszyc ludzi mnie sądem polubownym w tym jedynie celu, aby mógł co rychlej zostać wpuszczonym w posiadanie majątku, aby w dodatku dostał jeszcze inwentarz jaki jest oraz narzędzia gospodarcze. Obok tego, N. Ejbuszyc chciał jeszcze abym mu dopomógł do zabrania zasiewu żyta, jaki dopełnionym został na wypuszczonych przez wójta za należności gminne a w opisie wykazanych (nie mógł się więc do nich N. E. przyzepić) 50-ciu morgach.

Przez parę więc tygodni N. Ejbuszyc prawi ciągle i wszędzie o sądzie polubownym, aż w końcu jeden z sąsiadów oznajmia mi iż Ejbuszyc zdaje się wyłącznie na sąd p. Szpilfogla. Udaję się tedy znów do p. Szpilfogla, a p. Szpilfogel udaje się zemdła do Piotrkowa celem ostatecznego rozmówienia się z Ejbuszycem i po tej rozmowie pan Szpilfogel oświadcza, iż wobec ich postępowania nie powinienem ludzię się już dłużej, ale powinienem raczej ratować

i bronić tego, co się da, oni bowiem mają jeden cel tylko zabrać co zdołają.

Takie są rzeczywiste przyczyny sprzedaży dóbr moich za 16,000 rubli — po wyjaśnieniu których jedną jeszcze wzmiankę uczynić tu muszę. Wszyscy co mnie znają, wiedzą iż majątku nie przepuściłem; ci jednak co mnie wydziedziczyli czują, bądź co bądź, iż sprawa to nieczysta. Rozpuszczają więc wieści jakobym ja posiadał kilkadziesiąt tysięcy rubli, a majątek rozmyślnie puścił na licytację, oni zaś tylko jako zmuszeni kupili, mając u mnie 20,000 rubli. W rozpuszczaniu zaś tych wieści tkwi i inna jeszcze przyczyna. Zawierając umowy z włościanami poczyniłem pewne zobowiązania słowne, których dziś dotrzymać nie mogę; aby więc chłopie nie mieli do mnie żalu, zwołałem ich wszystkich i przedstawiłem im cały stan rzeczy aby wiedzieli z kim mają do czynienia, przyrzekając im zarazem w danym razie radę, pomoc i obronę. Nadmieniałem przytem iż cokolwiek im dadzą nie to tych nowych właścicieli majątku kosztować nie będzie, wszystko bowiem pochodzi z mojej krzywdy — i ztąd też nabywcy tem większy krzyk przeciwko mnie podnoszą.

Ile jednakże mają racji, niech poświadczą te nagie fakta, jakie tu przedstawiłem, a na potwierdzenie których dowody mam w rękę, jeden zaś z tych dowodów składam przy niniejszem. Jest to fotografia owego rozgraniczenia majątku; — sądzę bowiem iż każdy z ciekawych, kto się tej fotografii przypatrzy, zrozumie łatwo czem była owa operacja, dokonana przez „obywateli mojżeszowych“.

(1—1)

Henryk Kondradzki.

STUDENT UNIWERSYTETU

poszukuje lekcji lub korepetycji z przedmiotów wchodzących w zakres matematyki. Wiadomość w Redakcji „Rola“, Nowy Świat Nr. 4. (3-1)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu),

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

KUFRY, WALIZY, TORBY, oraz WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY.
TORBY myśliwskie, KARTUSZE, SIATKI, MANIERKI, OBROŻE, KAGAŃCE.
SZTYLPY skórzane i nieprzemakalne, do polowania i konnej jazdy.
KURTKI, SPODNIE i PŁASZCZE skórzane, na flaneli i baranach.
BUTY śliczne, POŃCZOCHY i KAFTANY dla myśliwych.
PORTFELE na papiery, PORTMONETKI, PORTCIGARETY, VISITE, WORECZKI i t. p.

p o l e c a
FABRYKA i MAGAZYN (52—7)

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakowa.-Przedm.

KALESONY i KAFTANY

zamszowe, ze skór jelenich i lnych — poleca na nadchodzący sezon zimowy

FABRYKA RĘKAWICZEK

FRANCISZKA PIÓRO (4-1)

Nr. 29 ulica Długa Nr. 29

(Hotel Polski).

Tamże przyjmuje się do prania Kalesony, Kaftany, skóry łosiowe i inne przedmioty skórzane.

ORGAN siedmiogłosowy oraz FISHARMONIA paryzka duża, do sprzedania w Fabryce Organów Przybyłowicza, Praga ul. Aleksandrowska Nr. 184 I. E. Ceny umiarkowane. (3-1)

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GALKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmłodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—2

SKŁAD MEBLI

13-4

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwiutnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

MAGAZYN BŁAWATNY

W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64

(Resursa Obywatelska)

otrzymał wielki wybór towarów na sezon bieżący i poleca takowy Szanownej Publiczności po cenach bardzo niskich, a mianowicie :

Materyały półwełniane gładkie po kop. 13, 20, 22½, 25, 30, 35.

Materyały w kratkę podwójnej szerokości po 30, 40 i t. d.

Materyały czysto wełniane podw. szerok. od k. 60 za łokieć.

Flanele podwójnej szerokości po kop. 50, 60, 75, 90, 1,00, 1,25.

Kaszmiry czarne po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,25, 1,50, 1,80 i t. d.

Armury na pokrycie szub po rs. 1, 1,20, 1,40, 1,50, 1,80, 2, 2,50, 2,80.

Barchany białe od kop. 13 — 40.

Perkale białe od kop. 9 za łokieć.

Płótno Jarosławskie 33 łok. od rs. 7 za sztukę.

Viktorya po kop. 22½, 25, 30, 35 i t. d.

Pika biała barchan po kop. 35.

Półplótna na łokcie od kop. 8.

Madapolamy na łokcie i sztuki po cenach niskich.

Korty po kop. 60, 75, 90, 1,00, 1,30, 1,50 i t. d.

Velvety czarne i kolorowe angielskie w wielkim wyborze.

Chustki wełniane duże od rs. 2,50.

(12—4)

MAGAZYN MEBLI (12—4)
Tapicersko - Dekoracyjna
JOZEFA DZIEGIELEWSKIEGO,

egzystująca 21 lat przy ulicy Ś-to Krzyżkiej Nr. 8, przeniesiona została na tę samą ulicę Nr. 5, vis à vis dawnego pomieszczenia.

Magazyn mój zaopatrzylem w znaczny zapas Mebli najrozmaitszych fasonów krajowych i zagranicznych, oraz duży wybór garniturów gotowych — salonowych, budoarowych, gabinetowych i fantazyjnych.

Urządzenia całych apartamentów, jako też i drobniejsze roboty w zakresie tapicerstwa i stolarstwa wchodzące, jak dawniej, wykonywać będę punktualnie przy nader niskich cenach.

Z czem się polecam JW. i Wielmożnym Panom, jak również moim stałym klientom, którzy mnie przez ten określony przeciąg czasu zaszczycać racyli.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoi jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-13)

Nowo otworzona Fabryka Polska
TKANIN METALOWYCH

oraz

wszelkich Wyrobów Drucianych (52-46)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Bieleńska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryli, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczołnicze. Sita do koniczyzny białej i czarnej, specjalnie przemyślnie ulepszone, które oczyszczają babkę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do koniczyzny czarnej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 30. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kukułki i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łózek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryżkie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

SKŁAD PAPIERU materiały piśmiennicze i ry-sunkowe, Drukarnia pośpieszna, oraz Kantor Gazet i pism periodycznych wychodzących w Warszawie, z Ekspedycją tychże na prowincję

St. Winiarskiego

w WARSZAWIE, NOWY-SWIAT Nr 62.
(Marki pocztowe za Gazety, przyjmują się jako gotowizna.)

Student Uniwersytetu,

trzeciego kursu prawa przygotowuje chłopców do szkół i udziela korepetycji. Wiadomość w Redakcyi „Rolla“.

(3—3)

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-34)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

J. TUROWSKI

Nowy-Swiat Nr. 23.

MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIELNYCH I POKOJOWYCH ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT ZWYCZAJNYCH. (52-37)

Treść numeru : Straszne cysty VI. — Maciej, portret, przez Klemensa Junoszę. — Francya żydziała (d. c.) — Mozaika literacko-artystyczna (dok.). — Na posterunku, fajereton Kamiennego — Z całego świata — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. W odcinku: Przez dolinę łez, powieść J. Rogosza (d. c.)

Redaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 17 Сентября 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Swiat N-r. 61)